

dawid kain

prawy, lewy, złamany



Dawid Kain

Prawy, lewy, złamany



Dawid Kain

Lokalizacja: Kraków

Styl bizarro: literatura wywrotowa Publikacje: ostatnio powieści „Gęba w niebie” (2010 r.), „Za pięć rewolta” (2011 r.) i „Punkt wyjścia” (2012 r.)

Opis:

„Duży a głupi” - jak powiedział o nim kiedyś William Shakespeare „Gdybym nie umarł, namiętnie czytałbym Kaina” - Samuel Beckett Wpływy: Beckett, Borges, Burroughs, Cronenberg, Cobain, Danielewski, Dick, Ellis, grzybki halunki, Hall, kaszka smakija, Keret, Koja, napój mountain dew, Reznor, South Park, Vonnegut, Wojacek.

I. Rzeczywistość idzie pod młotek

1

Kłęczał przed telewizorem jak przed ołtarzem. Lizał ekran. Kocham cię, kocham, mówił.

Między nogami miał pilota, ścisnął go w dłoniach, był tak podniecony, że aż się bałam.

Wsuń go we mnie, powiedziałam, bo w tym śnie miałam ekran pomiędzy udami, czarny jak otchłań, czarny jak rozpacz. W tym śnie to ja byłam telewizorem i obrazy aż wyciekały ze mnie, taka byłam wilgotna.

*

Obudziłam się cała mokra. Sponiewierana i obolała. Najpierw przeżuta, a potem wypłuta. Prosto z łona nocy w całun prześcieradła. Otarłam pot z czoła. Znów koszmar.

Chryste. Znów koszmar. I to jaki! Żywcem wyjęty z majaków pacjentów zamkniętych oddziałów. Albo wyreżyserowany przez jakiś nieludzko pokrzywiony umysł, wspomagany dragami. Do tego jeszcze to wrażenie, jakby trawiła mnie nieznana lekarzom gorączka, prawdziwa telefebra, tivimaligna. I te nocne dreszcze, zsynchronizowane z migotaniem ekranu, brzęczeniem głośników, blokami reklamowymi spadającymi zniecka. Ale właściwie czego mogłam się spodziewać? Przecież zawsze jak do późna nie odkleję oczu od telewizora, śnią mi się takie rzeczy. A to poruszający się na wózku inwalida z odtwarzaczem DVD zamiast ust. A to ciężarna kobieta rodząca poczwarki z twarzami bohaterów seriali. A to

znów dziecko z anteną wyrastającą z czaszki niczym osobliwy, metalowy kwiat.

Prawdziwe przekleństwo z tą kablówką. Pewnie, są na naszym osiedlu osoby, które firmę „Telenova” czczą mocniej niż ojca swego i matkę swoją, ba, mocniej nawet niż samego Najwyższego - On przecież niczyjego życia nie wzbogacił tak, jak to przedsiębiorstwo - ale ja się niestety do tej grupy nie zaliczam. Mnie dostawca telewizji kablowej obdarzył tylko niekończącymi się maratonami skakania po kanałach, nie przynoszącymi niczego poza psychicznym i fizycznym wycieńczeniem. Po każdym z takich kilkugodzinnych seansów jestem niczym lala z sex shopu - czuję się jakby niewyżyty samiec jeździł po mnie całą noc, a potem spuścił powietrze i cisnął w kąt.

Tak, mam te kilkadziesiąt programów. Zgoda, wybór jest spory. Ale co z tego, jak na żadnym nie na niczego interesującego? Tracę tylko czas i nerwy oglądając jakieś bzdety - filmy sensacyjne na przemian z programami przyrodniczymi, audycje o modzie przeplatane horrorami - a później wyobraźnia wymyka mi się spod kontroli i mam sny, za które spokojnie powinienem otrzymać specjalne wyróżnienie w Księdze Rekordów Guinnessa.

Dziś wariacka fantazja rozgorączkowanego telemaniaka, wczoraj przerażająca wizja tuzina wygłodniałych niemowląt, niczym Langolierzy pożerających wszystko, co tylko spotkają na drodze. Trawiących świat, kawałek po kawałku, i wydalających celuloide, taśma za taśmą. Sączących jad z wypełnionych haczykowatymi zębami ust. Zaciskających sine wargi w niemej prośbie o więcej i więcej.

Prawdopodobnie jestem o krok od ciężkiej psychozy. Tak to się z reguły zaczyna.

Jeszcze kilka koszmarów, dwa trzy urojonka na jawie, garść objawów mojej kablowej maligny, jakaś fatamorgana w stylu prezentera wiadomości lewitującego nad autostradą, a w końcu wypcham swoją matkę trocinami i zasztyletuję pierwszą kobietę, która zamieszka w moim motelu. Tylko skąd wezmę motel i trociny? A co tam! Witaj, żeńska wersjo Normana Batesa! Czubki całego świata - łączcie się!

Snuję się po pokoju, nie wiedząc, za co się zabrać. Nerwowa, na miękkich kolanach, błędę wzrokiem po kątach. Zszokowana niczym po wyjściu z wagonika największego rollercoastera świata, jestem w kompletnej rozsypce, w milionie kawałków nie do poskładania. Mimo dobijającego poczucia, że lepiej usiąść i płakać, załamać ręce nad złamanym sercem, wciąż mam nadzieję pozbierać się do kupy w ciągu najbliższych minut.

Tkwiąc jedną nogą we śnie, poruszam się jak zombie.

Powinam zmienić styl życia. Naprawdę. Przydałoby się więcej ruchu, świeżego powietrza, kontaktów z drugim człowiekiem. Więcej dialogów na ulicach i w lokalach, mniej monologów wewnętrznych, pod kołdrą lub w blasku ekranu. Spędzając tyle godzin w

czterech ścianach można momentalnie stracić dystans do samego siebie, doprowadzić mózg do gnicia i bardzo szybko wspiąć się na wyżyny szczytu zwanego potocznie Głupotą. Aktywność nie boli, a spala kalorie, może więc warto spróbować, moja droga! Rozmówcą nie zawsze musi być ten dołujący głos płynący z wnętrza własnej głowy, kręcący ciągłą korbę. No dalej! Rusz dupę, kobieto, zrób coś ze sobą!

Myśl pozytywnie. Enjoy! Don't worry, be happy! Zapisz się na aerobik, jogę, naukę tańca. Kup nowe podpaski, jesteś tego warta. Posłuchaj pragnienia! Zmień się, strzel sobie nowy make-up, zaaranżuj swoje smętne wnętrze. No dalej, działaj, ekscytuj się, walcz! Kup jakieś ładne ciuchy, modne dodatki, środki do pielęgnacji. W ogóle kup dużo rzeczy, kup, kup, kup i otocz się nimi jak Chiny murem. Ale przede wszystkim wyjdź z tego przekłętego mieszkania! Jakie tu masz perspektywy, jakie możliwości rozwoju, awansu, przypadkiem nie zerowe, żadne? Niech twój pierwszy krok w kierunku lepszej przyszłości będzie krokiem za próg!

Wyglądam przez okno, ziewając.

Dzień dzisiaj wyjątkowo niewyraźny i czuję się niewyraźnie. W taką pogodę nie mam zamiaru wychodzić. Bo i po co? W inną zresztą też nie bardzo. Matko, to osiedle jest tak przygnębiające, że wszystkiego się odechciewa. Najlepiej chyba walnąć się na podłogę i cierpliwie czekać na śpiączkę, która jak święty Mikołaj przyjdzie z workiem prezentów, gdy się najmniej spodziewasz: kolorowe paczuszki wypchane urojeniami, proszę mała, a jeśli byłaś niegrzeczna to różgę dostaniesz, zamiast przytulnego spanka natychmiastowy zgon i linia funkcji życiowych prosta jak strzała.

Po co w ogóle wstawałam?

Szary kożuch mgły szczelnie otula pobliskie budynki - ponure blokowiska, wyrastające z ziemi jedno przy drugim, kalekie dzieci PRL'u, bliźniaczo do siebie podobne i wywołujące taką samą grozę. Smog wisi nad miastem jak ciemny parasol, odcina dopływ promieni słonecznych, na wszystko rzuca cień... Mdłe opary codzienności wywołują odruch wymiotny, gdy wiesz, że dziś znowu będzie jak wczoraj i przedwczoraj, i wcześniej, gdy masz świadomość, że budzenie się ze snu - choćby najbardziej bezsensownego - było złą decyzją. Bura kawa rozlewa się po ulicach od samego rana, ale nie pobudza i nie orzeźwia. Nie idzie o to, że jestem jakoś szczególnie negatywnie nastawiona względem rzeczywistości, ale... zimno, nudno, beznadziejnie. Mogłoby się wreszcie coś zmienić.

Oczywiście, życie to nie telenowela, w której co rusz scenarzyści wymyślają dla bohaterów nowe perypetie, jednak... no mogłoby się coś w końcu stać w tym naszym okropnym mieście.

*

- Zgwałcił cię ktoś? - pyta Paweł.

Stoi w progu mojego mieszkania, papieros w ustach, smuga szarego dymu ciągnie się za nim jak welon. Znow wygląda na zbyt pewnego siebie. Mina mówiąca: „Ja zawsze dostaję, czego chcę, kochaniutka”. Gen cwaniactwa i leserstwa ujawniający się w każdej sytuacji. Typowy żaloszny facecik, model na rok 2006, równie wadliwy jak wszystkie poprzednie. Wszędzie teraz takich na pęczki, aż się niedobrze robi. Ale z drugiej strony to jedyny kolega, jaki mnie jeszcze odwiedza. Trzeba brać, co dają. Nie pora na wielkie reklamacje, skargi do wyższych instancji.

- Chciałabym. Włóż.

Nie zdejmuję butów, więc momentalnie łapie mnie wnerw i mam go ochotę zdrowo opieprzyć. W ostatniej chwili gryzę się jednak w język. Po raz kolejny wolę uniknąć nieprzyjemnej konfrontacji. Tak jest zresztą zawsze. Mogliby po mnie skakać, a życzyłabym im miękkiego lądowania.

On pewnie myśli, że jak stoi na bramce w jakimś modnym klubie, to już mu wszystko wolno, bo jest jakimś strasznym vipem i powinnam być wdzięczna, że w ogóle przyszedł, tak? Litości. Nie jestem szczególnie porządnicka, ale gdy widzę, jak gruba jest warstwa błota na podeszwie tych jego glanów, nachodzi mnie chęć, żeby się pochlastać.

Albo pochlastać jego, pana ochroniarza od siedmiu boleści. Na dodatek wczoraj sprzątałam.

Nieźle się spociłam, machając mopem jak szalona i próbując doprowadzić mieszkanie do porządku, a tu przyjdzie taki prostak i... Cholera jasna. Żyje sama i nie chcę mieć chlewu, jakbym dzieliła pokój ze świniami. Może rzeczywiście Pawłowi należy się porządny ochrzan? Więcej asertywności, dziewczyno! Chowając głowę w piasek daleko nie zajdziesz.

- Nie chciałem być chamski, wiesz. Tak spytałem, bo wyglądasz na sponiewieraną.

Rozumiesz w czym rzecz?

- Taa, jasne.

Już mu wierzę. Po prostu próbował mi dogryźć. Jak wiele razy w przeszłości. Bo każda okazja jest dobra, żeby mnie zdołować, zepchnąć w narożnik. Choć fakt faktem, że ostatnio nie wyglądam najlepiej. W tym względzie mogę się z nim zgodzić. Nie jestem jak te panienki z pierwszych stron gazet, nie szczerzę się na zawołanie, nie chichoczę zalotnie po każdym durnym żarcie, nie wyważam biustem drzwi do wielkiej kariery, wielkiej sławy.

W ogóle nie staram się korzystnie prezentować i bez przerwy podkreślać, jaka to ja nie

jestem piękna, zdolna, cudowna. I już naprawdę wszystko mi jedno. Kiedyś bardziej mi na różnych rzeczach zależało, ale ostatnio sporo się zmieniło, więc ciągle tylko powtarzam: „Niech się dzieje, co chce”. Innej dewizy nie mam i mieć nie będę. Pewnie już na pierwszy rzut oka można dostrzec różnicę. W ciągu tygodnia postarzałam się chyba o kilka lat.

Przynajmniej takie mam poczucie. Ciągle zmęczona, dosłownie wypompowana, najchętniej położyłabym się do wyrka i nigdy z niego nie wstawała. Niech się tam za oknami toczą planety i wojny, mi dajcie spokój, święty spokój, błagam, zapomnijcie o mnie, bo ja teraz zazdroszczę roślinom i kamieniom, zazdroszczę psom. To między innymi przez te nocne seanse. Ciągle ataki telefebry, zimne poty, drżące powieki i dłonie. Oczy mam czerwone jak królik doświadczalny, a wciąż powracające bóle głowy bez wątpienia wyrzeźbią mi na twarzy sporo nowych zmarszczek, których nie wygładzi nawet najdroższy krem. Jednak prawdą jest, że nie musiałabym spędzać tylu godzin przed telewizorem, gdybym nie cierpiała na bezsenność. A nie cierpiałabym na nią, gdyby nie...

- Widziałem się wczoraj z Olkiem.

...Gdyby nie Olek.

- Mhm. Fajnie. Co u niego? - pytam najbardziej obojętnym tonem, na jaki mnie w tych okolicznościach stać. Domyślam się, że nie brzmię tak luzacko, jak bym chciała, że na dźwięk tego imienia nie jestem tak nieskrępowana, jak powinnam. Trochę czasu musi jeszcze upłynąć. Miesiąc, dwa, więcej? Zobaczymy. Nigdy wcześniej nikt mnie aż tak nie zawiódł. Nigdy wcześniej nie rozstałam się z nikim po tak długim związku, więc nie mam w tych sprawach dużej praktyki. Choć może półtora roku to nie aż tak długo, jak się wydaje.

Dla Olka z pewnością niewiele. Myśli: nie ta, to inna, i idzie dalej. Niepotrzebnie się tym przejmuję, w kółko analizuję, aż słabo się robi. Pora z tym skończyć i rzucić się w wir nowych zajęć. Tylko jakich? Jakich?

- A, spoko. Zaczął nową robotę, więc coś tam działa, się nie poddaje. W jakimś piśmie o muzyce, czy coś tego typu. Wiesz, on zawsze miał w tym temacie świra, ciągle tylko płyty, płyty... Aha, no i pytał o ciebie.

- Tak? I co mu powiedziałaś?

No nie. Chyba za bardzo się podekscytowałam jak na „Kobietę, Która Już Nie Chce Mieć Z Tym Sukinsynem Nic Wspólnego”. Cóż, zdarza się. Nie dla mnie żadne „byłominęło”, ani „alleluja i do przodu”. Ani tym bardziej „bitch mode on” i mechaniczne traktowanie każdego faceta jako środka do celu, jakikolwiek by nie był. Nie ze mną te numery. Włącznik dystansu do takich spraw musiał zaciąć się już dawno, autoironii wysiadły korki i przepaliły się tranzystory. Jestem tylko człowiekiem i nie zawsze daję radę zachować

się z właściwym dla automatów opanowaniem.

- Że wszystko świetnie. Teraz widzę, że trochę idealizowałem.

Drań. Palant. Buc. W konkursie uszczypliwości należy mu się kolejny punkt. Który to już?

- Słuchaj, wcale nie jest tak, jak ci się wydaje. Właśnie wychodzę na prostą i to nie żadne...

- Nie? Na pewno nie? To może wyjaśnij, jak jest.

Nagle zaczyna mi się wydawać, że cały pokój wypełniony jest dymem, gęstym jak futro.

Gryzie w oczy, utrudnia oddychanie. Zaraz się popłaczę, rozkleję na dobre. O ile wcześniej nie wyrzucę Pawła i jego syfiastych fajek przez okno. Po co tu w ogóle przyłąził? Czemu zawsze muszę być magnesem dla frajerów i psychopatów? Ja chce mieć spokój, nie mam zamiaru słuchać, jak to Olkowi świetnie się wiedzie - nowa praca, pełny portfel i może jeszcze sekretarka, co stanika nigdy nie zakłada, majtki sporadycznie, za to podwiązki obowiązkowo - a ja zostałam w tyle: wielka pani filozof na tronie z książek spisanych czystym bełkotem, pełnych nieżyciowych prawd, schizofrenicznych omamów. To wszystko jest takie idiotyczne.

Takie cholernie niesprawiedliwe. Ja się tutaj łamię, a on rozkręca karierę, zawiera znajomości, chwytą Boga za nogi. Jak w jakiejś komedii omyłek. Spodziewany happy end jednak nie nadchodzi. Nawet nie wiem, czy scenariusz go przewiduje.

- Niewiele spałam dzisiaj i tyle. Zasiedziałam się przy telewizji.

- Kabłówka?

- Mhm.

Momentalnie przypominają mi się sceny z oglądanego wczoraj filmu grozy.

Rodzinka jadąca drogą, która nie ma końca, jakby była w tajemniczy sposób zapętlona.

Noc, zagadkowa kobieta w bieli, ściskająca martwe niemowlę, które już zaczęło roztaczać nieprzyjemną woń. Wokół las, gałęzie drżą od wiatru, mgła pełza między pniami, ktoś krzyczy, ale może to tylko ptak. Bohaterowie po kolei umierają, co jeden to w drastyczniejszy sposób. Jak to się nazywało? „Ślepy zaułek”. Coś akurat dla mnie. Tytuł streszczający ostatnie miesiące mojego życia. W pewnym momencie gdzieś źle skręciłam i już sama nie wiem, dokąd zmierzam. Pewnie donikąd.

- Ok, rozumiem. Ciężko się od cholerstwa oderwać. Prawda, co mówią, że telewizja uzależnia mocniej niż twarde dragi, ale nikt cię nie wyśle na odwyk, bo wszyscy w tym tkwią

po uszy, albo po oczy, kochana... A jak już jesteśmy w temacie, to dawaj. Włącz ten swój wysłużony sprzącior. Pokażę ci coś. I lepiej siadaj, bo padniesz.

Podaję mu pilota.

Co on znowu wymyślił? Zanosi się na lepszą bzdurę, jak zawsze. Już w liceum był z Pawła klasowy błazen - tylko żarty, imprezowanie i laski - a potem, zamiast dojrzeć, jeszcze bardziej wczuł się w rolę. Rozumiem robienie sobie jaj, dobra, jak lubi, dystans i humor też w porządku, współcześnie bardzo pożądane, ale nie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu. Wszystko ma swoje granice. Naprawdę szkoda mi czasu na takie...

Ustawia kanał dwadzieścia trzy, na którym nie ma teraz niczego prócz śniegu, jednej wielkiej zamieci. Paweł zaczyna coś kombinować w menu szukania stacji, przeskakuje z opcji na opcję, czaruje pilotem jakby to była magiczna różdżka. Uśmiecham się kwaśno, wzdychając.

- Słuchaj, nie jestem dziś w nastroju do takich... Jak szukasz jakiegoś darmowego porno, to naprawdę nie musisz się dłużej...

- Óóóó. Zaraz się przekonasz. Będziesz tak zaskoczona, że opad szczeny gwarantowany. Albo zwrot pieniędzy.

- Czyich pieniędzy...?

Po chwili na ekran wskakuje dziwaczny nowy program. Nigdy wcześniej go nie widziałam. Wygląda na jakąś nielegalną stację, nadającą właśnie reportaż z naszego osiedla.

Obraz niezbyt wyraźny. Pewnie pogoda utrudnia odbiór, że tak śnieży i błyska. Kolory wyblakłe, z przewagą zgniłej zieleni. Istne „M jak miłość” czy inny „Klan”. Może i tu kręca teraz serial? Może i ja będę miała szansę zostać gwiazdą i w brukowcach za ciężką kasę opowiadać o ulubionym kolorze majtek?

- Co to ma być? Etiuda „Żałość nad żałościami”? „Piknik pod Wiszącą Zaspą”? - pytam, gapiąc się na skromne wnętrze mieszkania bardzo podobnego do mojego, jednak umeblowanego znacznie mniej wykwintnie, o ile o jakiegokolwiek wykwintności może być w ogóle mowa.

- Odkryłem to kilka dni temu. Prawdopodobnie przebitka z kamer ochrony czy coś. Pokazują nasze osiedle. Na żywo.

Coś mu się chyba popieprzyło - myślę.

- Coś ci się chyba popieprzyło - mówię, bo staram się coraz częściej mówić, co myślę.

- Że co?

- Jaka ochrona? Jakich kamer? My nie mamy ochrony. To nie supermarket. I nigdy nie mieliśmy. Przynajmniej ja nie pamiętam, a mieszkam tu od dawna, nieraz mi się wydaje, że

ze sto lat z hakiem.

- Kiedyś musieliśmy mieć. Pilnowali, pałowali, sterydy walili po godzinach. I było prawo i sprawiedliwość, a nie menelstwo czyhające w progach, czające się za każdym krzakiem, w każdej bramie. Głowę dają. Pewnie zostawili część sprzętu po pijaku, jak robili bibkę pożegnalną i...

- I co? I możemy oglądać, co się dzieje w bloku obok?

- Dokładnie. Ktoś się podłączył do tej wewnętrznej sieci - elektrotechnik czy inny magister informatyk - i postanowił zrobić wypasiony show. Żałuję, że sam na to nie wpadłem. Może gdybym bardziej się znał na różnych technicznych sprawach.

- Kompletna bzdura. Nie pamiętam żadnej ochrony. A już na pewno żadnych kamer.

Zresztą - jaka ochrona ma prawo montować sprzęt po prywatnych mieszkaniach, ludziom prostym za plecami?

- Nie mam pojęcia i chuj mnie to, generalnie. Ale masz bonus taki, że teraz możesz podziwiać, co porabiają sąsiedzi - odpowiada, wyrzucając przez uchylone okno niedopaloną fajkę, która odbijając się od parapetu zostawia na nim paskudną smugę popiołu. - Możesz podpatrywać erotyczne szaleństwa dewotek. Gapić się na znudzonych tatusiów, kimających z wycieńczenia po dwuminutowym seksie. Plus te wszystkie dzieciaki, łykające piguły i wciągające biało, jak tylko starsi wypełzną poza kwadrat. Sama prawda, w stu procentach i bez cenzury. Cudeńko, po prostu cudeńko. Gratis do tego, bez reklam i ściemy.

Gapię się w ekran i nie mogę uwierzyć. Ktoś - na pewno nie ochrona! - rzeczywiście rejestruje, co się dzieje w okolicy. Jeszcze nie słyszałam o tego rodzaju monitoringu.

Pokazywanie wewnątrz mieszkań, zezwierzczenia naszego powszedniego... To w ogóle legalne? Można sobie tak po prostu podglądać ludzi bez ich zgody? Co na to konwencje praw człowieka? Co na to zwykła ludzka przyzwoitość?

- Powinniśmy zawiadomić policję - mówię.

- Żartujesz czy o drogę pytasz? Przecież taka fajna zabawa...

- Nie żartuję. To jest naruszenie prywatności. Poważne. Żeby nie powiedzieć: przegięcie pały, skierowanie obiektywów w rejony zakazane. Wprowadzając się tutaj, nie wyrażałam zgody na żadnego cholernego Big Brothera. Nie cierpię reality shows, rzygam od tego bagna, a już tym bardziej nie chcę w żadnym uczestniczyć. Żeby frajerstwo miało używanie, jak pod prysznic władzę.

- No i nie uczestniczysz. Bez paniki. Relaks, medytacja, głębokie oddychanie. Coś ty taka nerwowa ostatnio?

- Tak się złożyło, Panie Spokojnisiu.

- Nie pokazywali jeszcze ani twojego ani mojego mieszkania. U nas nie ma kamer, przecież byśmy się zawczasu skapnęli, nie sądzisz? Nie jesteście bohaterami żadnego Orwella, żadnego Kafki, więc wrzuć na luz, dziewczyno, bo ci pikawa padnie i się z tego zawału nie wykaraskasz. Co ci przeszkadza, że ktoś postanowił zrobić eksperyment? Sztuką blokowisk chlapnąć po ekranach? To cię boli?

- Boli. I przeszkadza... - odpowiadam, choć ciężko tak na gwałt wymienić jakieś konkretne argumenty, dlaczego jestem przeciwna. W końcu mamy wolność wypowiedzi artystycznej - czy jak to się tam nazywa - to może takie filmowanie staje się w pewnych warunkach dopuszczalne. - Gdzie według ciebie zainstalowali te kamery? I czemu tam, a nie tu?

- Dziewięćdziesiąt dziewięć procent, że nagrywają w którymś ze starych bloków. W Jedynce albo Dwójce. Sama popatrz. Kompletna rudera, szeroka paleta degeneratów i popaprańców, którzy tak naprawdę mają gdzieś, czy ktoś ich podgląda czy nie, bo kontakt z rzeczywistością to mają generalnie jak po grubszym kwasie.

Faktycznie, pokazywane mieszkanko nie wyglądało dobrze, ani nawet w normie.

Pożółkłe tapety, meble pamiętające komunę głęboką jak Rów Mariański. Jakaś chorobliwie otyła kobieta siedząca przed telewizorem. Przypomina jeden z niepotrzebnych sprzętów domowych, zabytek zamierzchłej epoki, grat wyczajony na pchlim targu. Pasuje do tego otoczenia, wkomponowała się w tę zapomnianą przez wszystkich norę, wrosła we własną beznadziejność na amen. Nadgryziona zębem czasu, jak wszystko wokół. I nawet nie ma pojęcia, że ją teraz oglądamy. To z jednej strony straszne, ale z drugiej... trochę ekscytujące.

Tutaj nie ma udawania. Twórcy tej audycji serwują nam tylko i wyłącznie blokową rzeczywistość, bez zbędnych upiększeń, makijażu nakładanego na gęby rodem z kroniki kryminalnej. Aż ciarki przechodzą, jakie to wszystko beznadziejne. Doła można sobie takim show nakręcić, nic więcej.

- Ale po co oni to robią? Przecież tu nigdy nic się nie dzieje. Osiedle jak każde. Jaki to ma sens?

- Bóg raczy wiedzieć. Bóg albo prezes tej stacji całej. Zresztą, co mnie to. Jest okazja, to się patrzy. Darmo, więc nie wybrzydź, bo tata zabierze i da po łapach. A co tamci wyprawiają w zaciszu czterech ścian, to już osobny, barwny rozdział. Więc pogapmy się i może na moment zamknijmy japy, póki w miarę uregulowałem jakość.

Na ekranie grubaska zaczęła dłużyć nos. Jezu... Chryste... Zbawicielu świata...

To tak emeryci spędzają czas wolny, tak wygląda przysłowiowa „jesień życia”? Włożyłaby palec głębiej, a usłyszałabym chyba odgłos paznokcia uderzającego o wnętrze

czaszki.

Pustej, bo wątpię czy ostał się tam choćby strzęp szarej komórki. Wszystko strawiły brazylijskie tasiemce, które jak wiadomo mózgiem się nałogowo odżywiają. O matko. Nie znałam tej baby, nigdy wcześniej jej nie widziałam, ale już byłam pewna, że jest naprawdę obleśną staruchą. Wiedźmą godną roli w „Blair Witch Project”. Rany. I co tu oglądać?

Czym się ekscytować? Nędza aż boli.

*

Jak tylko Paweł wyszedł, strzeliłam sobie kawkę. Byłam strasznie senna i czułam się taka... połamana. Jakby brała mnie grypa. Może wciąż trzymało mnie w szponach posesyjne zniechęcenie do wszystkiego i ogólne osłabienie organizmu, nadwerężonego nadmiarem nauki? Całkiem prawdopodobne. Kucia było sporo i mam prawo być w dolinie przez jakiś okres.

Przetrząsnęłam kuchenne szafki, szukając jakichś leków. Niczego poza witaminą Ce. Cholera...

Upiłam kolejny łyk.

Czy Paweł żyje na tym świecie tylko po to, żeby mnie denerwować? Cenię szczerą, ale nie gdy polega na mówieniu komuś, że wygląda jak ofiara gwałtu. Bo chociaż ostatnie dni były fatalne, wyniszczające, denne, to nie mogłam się chyba aż tak zmienić.

Muszę zacząć wreszcie wierzyć, że wszystko jest zupełnie ok, żebym pewnego dnia nie obudziła się z ręką w nocniku, czy raczej: z głową w ekranie. Mam podstawy przypuszczać, że właśnie taki koniec ktoś zaczął dla mnie szkicować: los, Stwórca, scenarzysta, nieważne.

Wierny telewidz przeżyje wreszcie bliskie spotkanie ze swoim „Panem”. Zbyt bliskie, zdecydowanie.

W końcu znalazłam dwa gripexy, upchnięte w szufladzie z filmami. Jaki idiota mógł je tu wsadzić? Kto był na tyle bystry, żeby wetknąć piguły między pudełka z płytami DVD?

Tylko jedna osoba przychodziła mi na myśl - Olek. Pan Na Luzie. Pan Skończyłem Studia, Których Nie Cierpiałem I Teraz Mam Prawo Być Wkurzony Na Cały Dosłownie Kosmos.

Magister Ściemologii Stosowanej. Frajer z certyfikatem i odznaką.

Siadłam w fotelu, łyknęłam tabletki i popiłam kawą. Mieszanka efedryny z kofeiną powinna dać solidnego kopa. Taki koktajl nieraz mnie ratował, szczególnie przed egzaminami, gdy sen dawał się już we znaki, a przede mną były jeszcze długie godziny

wkuwania logiki, czytania o Platońskich Jaskiniach, czy - powołując się na ostatnio zaliczony materiał - solipsyzmach Berkeleya. Że też teraz, kiedy powinnam być odprężona i szczęśliwa, że wszystko zdane, ogarniały mnie jakiejś dobijające, wręcz samobójcze myśli. Teoretycznie powinno już pójść z górki, ale wcale nie jest lepiej, z niczym, nigdy. Bo przecież droga z górki nieuchronnie prowadzi w dół, w depresję tak głęboką, że nie dociera tam światło.

W TV dalej szło to beznadziejne osiedlowe reality-show. Widać zapomniałam zmienić ten szajs na inny... szajs.

Gruba baba nadal tkwiła w tym samym miejscu, co poprzednio. Gęba niczym pączek nafaszerowany zbyt dużą ilością dżemu, przetłuszczone włosy, oczka niewielkie jak para rodzynek w cieście. Zły sen cukiernika. Pani Istny Koszmarek. W dłoni trzymała łyżkę.

Uśmiechała się tajemniczo, jakby chciała powiedzieć: „A ja wiem coś, czego wy nie wiecie, na na na”.

Sięgnęłam po pilota. Nie miałam ochoty dłużej napawać się szalejącą za szkłem nędzą, przybierającym wręcz barokowe formy obciachem. Może Pawłowi to odpowiada, zaspokaja go estetycznie i intelektualnie, ale mnie nie, Boziu ratuj. Tego typu eksperymenty i jazdy po bandzie nigdy mnie nie interesowały, z reguły działały jak środek wymiotny.

Nienawidzę, jak ktoś robi takie zoo, gdzie zamiast zwierząt w klatkach tkwią ludzie.

Zalamuje mnie to, jeśli mam być szczerą. Bo zaraz wychodzi na jaw, że człowiek jest tak naprawdę mniej ciekawy od pierwszej lepszej małpy, wszystkie jego wygłupy wydają się wymuszone i marnie zagrane, teksty nieśmieszne, a próby zablęśnięcia od startu skazane na porażkę. Wewnętrzna pustka gatunku wypływa na wierzch, w całej budzącej żal okazałości.

I nagle wewnątrz przeciętnego homo-sapiens na naszych oczach staje się rozciągniętą po horyzont ziemią jałową, nad którą krążą wygłodniałe sępy, bezskutecznie szukające wzrokiem jakiegokolwiek ochłapu myśli, idei, sensu. Ale tam zupełnie nic nie ma...

Zanim zdążyłam zmienić program, zobaczyłam jak babsztyl powolnym ruchem przybliżyła sobie łyżkę do twarzy.

Poczułam nagły chłód. Ogarnęło mnie dziwne przecucie, że za moment stanie się coś strasznego, nieodwracalnie ryjąc mi tunele w wyobraźni. Miałam wrażenie, że to wcale nie kolejny program rozrywkowy, show za pięć groszy, cyrk w kręgu kamer, a raczej projekcja czyjejś chorej podświadomości. Nie wiem skąd przyszło mi to do głowy, ale już po chwili stało się niemal pewnikiem.

Wtedy starucha skończyła z cegielkami. Wbiła sobie łyżkę w oko i przekręciła kilkukrotnie. Jakby chciała wkręcić ją głęboko w mózg, wywalić dziurę z drugiej strony.

Usłyszałam zgrzyt metalu trącego o kość, okropny jak dźwięk rozrywanego styropianu

albo paznokci przesuwanych po szkolnej tablicy. Aż zacisnęłam zęby. I pięści.

Coś w moim gardle zaczęło pęcznieć, niczym namakający wodą tampon. Nie mogłam przełknąć śliny, nie dawałam rady...

Po paru sekundach tamta wyjęła z oczodołu zakrwawioną, pokrytą galaretowatymi resztkami gałki ocznej łyżkę.

Zachichotała.

Byłam w zbyt wielkim szoku, by zmienić program. Siedziałam jak na szpilkach, jak sparaliżowana.

Myślałam... Miałam nadzieję, że ta walnięta starucha nie może już zrobić niczego bardziej przerażającego i obrzydliwego, że to koniec przedstawienia i zaraz kurtyna opadnie, rozlegną się niezasłużone brawa.

Niestety byłam w błędzie, bo wtedy ona...

Ona...

...Z uśmiechem wsunęła sobie łyżkę w usta.

2

Paweł wyjął z kieszeni zapalniczkę i odpalił sobie kolejnego papierosa. Zaciągając się, przymknął przekrwione oczy. W jego życiu dwóch rzeczy było zdecydowanie za dużo: telewizji i fajek. Od jednego i drugiego był uzależniony, czuł jednak, że palenie akurat może rzucić w każdej chwili, jeśli tylko znajdzie odpowiednią motywację, na przykład dziewczynę, która nie będzie się godzić na bycie biernym palaczem, brodenie w dymie jak goryle we mgle. Wtedy z tym skończy, raz a dobrze. Kupi dziesięć paczek nicorette i walnie sobie porządny odwyk. Gorzej z telewizją. Bo nie wymyślono jeszcze gum pomagających w zwalczaniu uporczywej telemanii, nałogu kablowego, który w jego przypadku z dnia na dzień był coraz silniejszy i przybierał coraz bardziej groteskowe formy. A wszystko za sprawą firmy „Telenova”, świeć Panie nad ich siedzibą! Dzięki niej mieszkańcy tego osiedla, jak i wielu innych w Krakowie i okolicach, mogli do woli wybierać między dziesiątkami programów z całego świata. W skład oferty wchodziły nie tylko audycje dużych koncernów medialnych, ale również rzeczy niemal zupełnie nieznanymi stacji, takich jak skierowana do gejów i lesbijek „Queer”, odpowiadająca fetyszystom „Kink”, czy też poświęcona różnym przejawom przemocy i agresji „Videodrome”, którą założyli chyba jacyś zdrowo pieprznięci wyznawcy filozofii nieśmiertelnego Markiza de Sade. W każdym razie - było na czym oko zawiesić, choć zdecydowanie nie wszystko nadawało się do oglądania, sporo rzeczy po prostu wzbudzało niesmak.

- Cóż za pogoda - szepnął sam do siebie, wydychając w chłodne powietrze kłąb gęstego dymu. Założył na głowę kaptur i ruszył w stronę swojego bloku.

Cały czas zastanawiał się, czy dobrze zrobił, mówiąc Ance o tym kuriozalnym programie. Właściwie co chciał osiągnąć? Zaimponować jej? Wydawała się raczej zde gustowana. I oburzona. Odkąd dowiedział się, że sprawa między nią a Olkiem jest definitywnie skończona, miał świadomość, że właśnie teraz powinien zacząć działać. To był odpowiedni moment. W Internecie wyczytał kiedyś, że najłatwiej poderwać dziewczynę, która dopiero co zakończyła poprzedni związek. Wprawdzie żadna laska nie powie ci tego wprost, wszystkie będą utrzymywać, że po zerwaniu nie mogą nawet patrzeć na koleś, jednak gdzieś w głębi ich umysłów będzie się tliła iskierka nadziei - a może ten nowy facet to ktoś, na kogo czekałam, może powinnam zaryzykować, jeszcze ten jeden, jedyny raz? Tę iskierkę można zmienić w prawdziwy emocjonalny płomień, jeśli tylko umiejętnie się za to zabrać. Z wyczuciem i ostrożnością, jakbyś podchodził do przerażonego zwierzątka. Byle tylko nie spłoszyć, nie przedobrzyć. Paweł już od dawna obmyślał plan działania, rozrysowywał fronty, kierował armie osobistego uroku i poczucia humoru w ogień walki, ale nawet w wyobraźni jego zachowanie wydawało się co najmniej nieodpowiednie. Był jak nędzny aktor, który w dniu premiery robi się drewniany i sztuczny niczym Pinokio. Za wszelką cenę chciał wypaść jak najlepiej, a jednocześnie zdawał sobie sprawę, że nic z tego nie wyjdzie, bo tak już jest.

No i zgodnie z wszelkimi rachunkami prawdopodobieństwa jego pierwsza „próbą” okazała się niewypałem. Zaprosił ją na kawę, kupił kwiaty, wciągnął w kipiącą od emocji rozmowę, ale nigdy, przenigdy nie pokazał jej bezsensownej audycji jakiejś mocno podejrzanej pirackiej stacji telewizyjnej, ubarwiając jeszcze tę „prezentację” swoimi żalonymi uwagami, komentarzami poniżej pasa i granicy przyzwoitości! Teraz już wiedział, że popełnił niewybaczalny błąd. Jak zresztą wiele razy w przeszłości, jeśli chodzi o kontakty z Anką. Zawsze traktował ją jak koleżankę, czy może raczej kumpelę: kogoś, przy kim można pierdnąć nie przejmując się konsekwencjami, z kim można się kopsnąć na browar ale już nie kolację przy świecach. Odkąd zaczęła mu się podobać, chciał za wszelką cenę zmienić się w jej oczach, wyrzucić lepsze wrażenie. Nie udawało się. Nadal patrzyła na niego jak na błazna. Klauna, z którym można popić, pożartować, pośmiać się, ale nic więcej. Idiotę, który nie umie znaleźć sobie miejsca w życiu; zmienia prace jak dziewczyny, a dziewczyny jak rękawiczki. To była oczywiście wyłącznie jego wina. Mógł trochę spoważnieć, wziąć na wstrzymanie. A jeśli nie, powinien chociaż udawać dojrzałego! No ale skoro od lat traktował Anię z przymrużeniem oka, także teraz zdarzało mu się w jej towarzystwie rzucić tekst w rodzaju: „Pojebało cię, stara?”, albo choćby dzisiejsze, niezapomniane: „Zgwałcił cię

ktoś?”.

Ty frajerze, ty skończony frajerze! Powinieneś w izolatce przymierzać kaftany, a nie planować związek z góry skazany na rozpad, rozkład i porażkę - ochrzaniał się w myślach, idąc przez mokre od deszczu osiedle, lśniące niczym chora narośl, guz z betonu, stali i szkła.

Nieopodał, pod zadaszeniem jednego z bloków, trójka gówniarzy paliła zioło z osmalonej lufki. Paweł momentalnie im pozazdrościł. Nie tylko tego, że są młodzi, mogą mieć wszystko gdzieś, olewać system z góry na dół, a problemy dorosłego życia przez najbliższe lata będą im zupełnie obce. Przywołał w myślach wspomnienie słodkiego zapachu Marysi, jedynej panny, z którą kiedyś udało mu się utworzyć trwały, stabilny związek, gdy wszystko wokół waliło mu się na łeb. Marihuana jako jedyna go rozumiała, nigdy nie narzekając, nie stawiając wygórowanych wymagań. Po prostu brała go takim, jaki jest, z dobrodziejstwem inwentarza, całym tym słownikiem głupich powiedzonek, żartów nie wartych grosza, marginesem błędów, które nieustannie popełniał. Miło by było odnowić tamtą znajomość. Dać się ponieść dymkowi. Miło by było, jakby w jego życiu znów pojawił się jakiś drobny schiz, a wszystko przestało być takie nudne, takie monotonne, takie przewidywalne. Czasem słabo mu się robiło na samą myśl, jak sprawy stoją. Poranki bywały najcięższe, zwłaszcza te następujące po wyjątkowo realistycznych snach, w których miał piękną żonę, piękny dom, piękny samochód i w ogóle wszystko piękne, szczególnie kwoty na koncie. Pobudka przynosiła trudne do zniesienia rozczarowanie. Zupełnie jakby zaproszono cię na bal z udziałem gwiazd Hollywood, a przy wejściu wytłumaczono, że jesteś tu nie żeby się bawić, tylko żeby posprzątać salę po imprezie.

Wszedł do bloku i wduśli przycisk wzywający windę. Wprawdzie mieszkał na trzecim piętrze, ale jakoś nigdy nie miał ochoty na wspinaczkę po schodach. Był leniwy niczym pieróg, zdawał sobie z tego sprawę. Gdyby mógł, spędziłby całe życie w fotelu, przed telewizorem albo kompem. Zresztą kto przy zdrowych zmysłach lubił wychodzić na zewnątrz w taki dzień jak dziś? Kto, mając do wyboru gapienie się w ekran i nicnierobienie, albo spacer w deszczu i zimnie, zdecydowałby się na to ostatnie? To trochę, jakbyś miał rozstrzygnąć, czy chcesz dostać w prezencie najnowszą plazmę Sony czy może tylko karton po niej. Rzeczywistość była przecież takim właśnie kartonem, szarym i pustym w środku, a jej miejsce znajdowało się na wysypisku, wśród innych, równie niepotrzebnych odpadów.

Wsiadł do windy. Wewnątrz, pośród dziesiątek bazgrołów walczących o swoje miejsce na metalowych ścianach, zauważył kilka nowych, wykonanych czerwonym markerem sloganów:

1. Nie będziesz miał telewizorów cudzych przede mną.

2. Nie będziesz zmieniał kanałów nadaremno.
3. Pamiętaj, aby mózg swój co dzień serialem uświęcić.
4. Czcij kablówkę swoją.
5. I nigdy, przenigdy nie wyłączaj telewizora!!!

Uśmiechnął się pod nosem, naciskając przycisk z cyfrą trzy. Uwielbiał humor gówniarzy dewastujących ściany bloków swoją radosną twórczością. Gdyby był nieco młodszy, chyba sam zacząłby wypisywać takie bzdety. Znakomita rozrywka. A przy okazji miałeś świadomość, że robisz coś nielegalnego, coś, co wyprowadzi z równowagi większość tak zwanych normalnych lokatorów. Mała anarchia w dzieciennym wydaniu, wymachiwanie flagą na wykałaczce, pokazywanie fucka niezidentyfikowanym wrogom.

Niby nic, a cieszy.

Gdy drzwi windy zamknęły się, na nich też dostrzegł nowe napisy, również w kolorze niepokojąco przypominającym barwę świeżej krwi: Telewizorze mój kochany

Naprawdę świetne są Twoje programy

Ty jesteś królem sprzętów RTV

Co ja bym zrobił gdybym Cię nie miał?

Na kogo bym patrzył, z kim bym dyskutował?

Ma miłość jest zbyt wielka by ją ubrać w słowa!

Bądź mi więc władcą przez kolejne wieki

Ty - wpatrzone w pustkę oko bez powieki

3

Przecieram oczy i raz jeszcze patrzę na ekran. Jestem jak bohaterka dziecięcego teatryku, nachalnymi gestami próbująca wyrazić zdziwienie, ale po prostu nie mogę uwierzyć w to, co widzę. Otyła kobieta nadal siedzi na swoim miejscu. W dłoni trzyma nie łyżkę, lecz pilota. Uśmiecha się szeroko, patologicznie szczerząc szaro-sine zęby, jak reklama własnego rozkładu, promocja zgnilizny. I w sumie ma powód, bo jej oczy są teraz najzupełniej w normie.

Zaraz, zaraz. Coś tu jest bardzo, ale to bardzo nie w porządku.

Gdzie wypływająca z oczodołu gałka oczna?

Gdzie krew ściekająca gęstym strumieniem po policzku?

Gdzie...?

Co to było, to przed chwilą? Halucynacje wywołane niewyspaniem? Objawienie w formie półminutowego zwiastuna, a jak chcesz więcej, kup bilet? Całkiem możliwe... Czy

może wielkimi krokami nadszedł właśnie kolejny etap rozwoju mojej osobliwej mani? Telemani prześladowczej? Schizofreni kablowej? Również dosyć prawdopodobne. Nadmiar idiotycznych programów i niedobór snu. Każdy by oszalał, zaczął rozdzierać szaty kupione na wyprzedaży...

Armia czubków będzie wyjątkowo liczna w naszym nowym wspaniałym świecie. Przepracowani yuppie-zabójcy rodem z „American Psycho”, bizneswoman ciągnące za sobą brzemień urojonych ciąż, dzieciaki cierpiące na zespół tourette’a, dostające ataków przed ekranem: twarze targane bolesnymi skurczami, wykrzywione jak na obrazie Muncha, ciągi przekleństw lecą jak serie pocisków na froncie. A ja między nimi. Kolejna umęczona dusza.

Wyłączam telewizor. Głowa mi pęka. Gripex nie zadziałał. Kawa nie pobudziła.

Jestem w kompletnym szoku i bardzo mnie boli. A im szok większy, tym ból eksploduje z większą siłą. To męczące uczucie, domagające się, żeby je z siebie wyrzucić, uzewnętrznic w jakikolwiek sposób. Naprawdę mam ochotę podzielić się z kimś moją paranoją, zarazić nią kogokolwiek, ale nikogo nie ma w pobliżu. Jak zwykle.

Nagle dzwoni telefon.

- Halo?

- Siedem dni... - mówi zachrypnięty głos.

- Proszę?

- Zostało ci siedem dni.

Przez moment czuję, że skóra mi cierpnie. Nie wiem, czy krzyżeć, czy uciekać, czy wzywać imienia Boga nadaremno.

Dopiero po paru sekundach przypomina mi się film, który ostatnio leciał. To wraca jakby w migawkach: czarne włosy, blada twarz, studnia głęboka jak przepaść. Właśnie tam padło zdanie z siedmioma dniami w roli głównej, budząc uzasadnioną panikę, wywołując przemożną chęć spania wyłącznie przy włączonym świetle, już na wieki wieków.

Wiem, kto znowu robi sobie ze mnie jaja.

- Paweł, ja cię kiedyś zamorduję!

- He, he, he! Skąd wiedziałaś, że to ja?

- A kto inny niby? Na pewno nikt z moich znajomych, a i paniom z Tepsy obcy jest wisielczy humor. Byłeś pierwszą osobą, która przyszła mi do głowy.

- No. Fakt... emm... Punkt dla ciebie.

- Czego chcesz? Nie powyżywałaś się wystarczająco ostatnim razem? Przyszedł czas na nową porcję tortur mentalnych?

- Posłuchaj. Anka. Chciałem tylko... No chciałem cię przeprosić.

Wszystkiego się mogłam po nim spodziewać, tylko nie tego. Skąd słowo „przepraszam” w jego słowniku, skąd on je w ogóle zna? Wyszukał w googlach, kupił na allegro, usłyszał w serialu? Zupełnie koleś nie poznaję. On i przeprosiny? Nie, to nie może być prawda. To musi być jakaś kolejna jazda po bandzie, której jeszcze nie czaję.

- Nie żartuj sobie nawet.

- Poważnie gadam. Sorki. Szczerze, z ręką na pikawie. Sam nie wiem, czemu tak wyszło. No wiesz, wprosiłem się do ciebie i tylko cię zdenerwowałem. Po kiego grzyba pokazywałem ci ten kretyński program?... Ech. Mam nadzieję, że już tego gówna nie oglądasz.

- Nie, wyłączyłam.

Powiedzieć mu o halucynacjach? Paweł, słuchaj, od natłoku idiotyzmów zaczęłam mieć koszmary na jawie, istne fatamorgany... Nie, nie, to brzmi żałośnie. Jakbym błagała o pomoc. Każe mi tyrknać do jakiejś poradni albo iść do Monaru. „Wyluzuj kobieto, pomyśl może o terapii grupowej, to już wielu osobom pomogło, na duchu podniosło”. Tak nisko nie upadłam. Zresztą on i tak nie jest typem człowieka, z którym można serio porozmawiać o podobnej sprawie. Zaraz zaczniesz się brechtować, wygada Olkowi, albo wymyśli coś jeszcze gorszego.

- I dobrze. Jeszcze raz sorry. To było dziecinne z mojej strony. Kolejna porażająca porażka Pana Wtopy. Więcej nie będę...

- Dobra, dobra, nie rób z siebie takiego świętoszka, bo nie uwierzę.

Zamilkł na moment. Pewnie teraz wypali, że tylko udawał, wcale nie dzwoni, żeby przeproszać, tylko mnie wkręca, pięćdziesiąty raz z rzędu. „Ha, ha, fajnie, fajnie, mała, jesteś trochę naiwna, ale to szczegół, ha, ha!”

- Słuchaj, Aniu...

Co?

Że jak?

„Aniu”?

To już przesada. I to gruba. Wie, że nie cierpię, jak ktoś mnie tak nazywa. I że moim zdaniem imię Ania powinno być zarezerwowane dla rudzielców mieszkających na Zielonych Wzgórzach, małych dziewczynek wyposażonych z worek lizaków, albo grających w erotykach lolitek, które lubią udawać małe dziewczynki. A ja już od dawna nie sypiam z miškami.

Ale dobrze, stary, ja też zagram w tę twoją grę.

- Tak, Pawełku, moje kochanie? Tak, moje maleństwo? Pomiziać się chcesz,

poprzytulać? Urządzić wspólne leżakowanie?

Parsknął śmiechem.

- Nie, już nic. Trzymaj się. Do usłyszenia.

Odłożyłam słuchawkę.

Dziwny facet. Ostatnio za każdym razem, jak z nim rozmawiałam, było tak, jakby za jego słowami kryło się jakieś dodatkowe znaczenie, drugie dno. Za każdym mało śmiesznym dźwiękiem majaczył głęboko skrywany smutek... Choć może to tylko takie zawodowe zboczenie, szukanie głębi, gdzie jej nie ma, dopatrywanie się wielkich przesłań we wszystkich banałach. Ale naprawdę chciałabym wiedzieć, co dolega temu koleśowi.

Wpadł w doła? Dragi doszczętnie przeżarł mu mózg? Czy dostał po głowie i teraz cierpi na rozdwojenie jaźni - z jednej strony chce być rozrywkowym przygłupem, wiecznym nastolatkiem, a z drugiej odpowiedzialnym dwudziestoparolatkiem, mającym już pomysł na siebie i plan jego realizacji? Jedynie wykwalifikowany psychiatra mógłby komuś tak powalonemu wystawić właściwą diagnozę. Zwykli ludzie tego nie rozgryzą. Ja nie czaiłam go w liceum, więc tym bardziej nie domyślę się, o co biega teraz.

*

Przyniosłam z kuchni jogurt i łyżeczkę. Ostatnio robię sobie taką niby dietę - jem tylko jogurty, owoce albo płatki. Sama nie wiem, po co. Chyba żeby sprawdzić, czy potrafię panować nad głodem. A może to jakaś forma kompensacji po miłosnym zawodzie?

Bylebym tylko nie stała się kolejną cosmo-dziewczyną, fanką cosmo-tricków, która ma fabrycznie ustawione trzy tryby działania: pieprzenie się, robienie zakupów i odchudzanie.

Usiadłam w fotelu, przed zgaszonym telewizorem. Z ciemnego ekranu gapiło się na mnie moje pogrubiłe odbicie, rodem gabinetu luster. Wyglądało na bardzo smutne. Czy i ja taka byłam?

Cichy głos dochodzący z głębi głowy zaczął szeptać: - Zrób to. Na co czekasz? Po prostu zrób to.

Popatrzyłam na łyżeczkę jakby była magicznym artefaktem. Wystarczyły dwa szybkie i pewne ruchy, bym już więcej nie musiała na siebie patrzeć. Bo właściwie... byłam wstrętna, żalonna, nic mi się nigdy nie udawało. Nie wiedziałam, co dalej, wolałam nie wybiegać znowo w przyszłość, żeby nie popaść w czarnowidztwo. Ale przecież całe to osiedle było odrażające, jak jakaś choroba, w którą wszyscy wpadliśmy, bo nie było nas stać na życie w lepszych dzielnicach. Po co to wszystko widzieć, psuć sobie humor od rana do nocy? Może ten stary babsztyl na ekranie to byłam ja za czterdzieści lat? Tak właśnie skończę - jako

tłuszcioch zrośnięty z fotelem w nierozzerwalną całość, lubiący oglądanie seriali, żarcie i spanie, niekochany, niemądry, nienawidzący siebie, nie widzący świata poza rzeczywistością zarejestrowaną przez kamery? Stanę się kolejnym toczonym przez rozkład elementem tej parszywej okolicy, kolejnym wrzodem na tyłku tego miasta... Ślepi i głusi mają o tyle dobrze, że nie dociera do nich większość bodźców z otoczenia, co pozwala zaoszczędzić wielu cierpień i rozczarowań. Niekiedy im zazdrościłam, choć może to nieprzyzwoite, marzyć o kalectwie, gdy jest się zupełnie zdrowym. To była tylko próba wyobrażenia sobie pewnej sytuacji. Zastanawiałam się, jakby to było - żyć w wymyślonym przez siebie świecie, samemu reżyserować własną rzeczywistość, odciąć się od prawdy, nudnej jak ściana bez graffiti.

- Nie będzie bolało. A nawet jeśli, to tylko przez chwilę. Wbij głęboko i po krzyku. Nie zwlekaj. Przecież nie możesz już na siebie patrzeć, no nie? Ani na to, co wokół. Odetchnęłam głęboko.

Nie, wcale nie mam zamiaru tego robić. Nie chcę być niewidoma. Co za w ogóle poroniony pomysł! To tylko ten idiotyczny wewnętrzny głos, narrator z piekła rodem, który chce dla mnie jak najgorzej, raz za razem pchając w szpony autodestrukcji. Co radzą te wszystkie podręczniki pozytywnego myślenia? Powtarzaj, że jesteś piękna, wmawiaj sobie, że świetnie ci się wiedzie, nawet gdy nic się nie układa... Gdyby to było takie łatwe. Gdyby słowa działały jak zaklęcia, zmieniając wszystko diametralnie. Może wtedy wyleczyłabym się chociaż z tych chorych snów.

A może po prostu potrzebny tu kolejny gripex, popity małą czarną?

4

Nie. No nie, no nie. To już jest przegięcie - myślałem, gapiąc się w dopiero co otwarty zeszyt do biologii. Jaciempierdołem i oszkurwajebana. Na jutro była zapowiedziana klasówka z całego półrocza, a ja jeszcze nawet nie zacząłem rycia. Bonusowo opuściłem chyba z połowę lekcji. I nie mam właściwie żadnych notatek. Bo po pierwsze byłem zbyt leniwy i nie chciało mi się przepisywać, a po drugie byłem zbyt głupi, bo nie wpadłem na to, że przecież - tanio i bez wysiłku - mogę je skserować. Jezusie Przenajświętszy i Panno Błogosławiona. Co teraz pocznę?

Mogę...

Mogę, yyy...

Mogę po prostu nie iść do budy...

Ha, to jest plan!

Tylko jak to zorganizować, żeby nie wzbudzić niczyich podejrzeń?

O, o, o! Już wiem! Zagram chorego. Oscarowo. Powiem matce, że mam AIDS. Albo raka. Nietletki przerzut na prostatę i płucoskrzela. Choć może to już walnięcie ze zbyt grubej rury i przeginięcie pytki, he, he, he! Lepiej użyć standardziku - grypka albo jakieś przeziębiono. One zawsze działają niezawodnie.

Starsza powie:

- No to zmierz gorączkę, synku. Martwię się o ciebie, coś ostatnio często chorujesz.

- Nie zadręczaj się, mamó - odpowiem najśłodszy głośem, jaki będę w stanie z siebie wydusić. Gdy da mi termometr, poproszę, żeby zrobiła herbaty. Z cytryną, koniecznie z cytryną, przecież grypa mnie tu rozkłada na łopatki, trzeba zdusić bydle w zarodku! A wyciśnięcie cytrynki to zysk dodatkowych paru sekund. Jak tylko stara ruszy do kuchni, zastosuję mój odwieczny chwyt specjalny - przyłożę termometr do rozgrzanej żarówki i poczekam aż nagrzej się do jakichś 39-40 stopni. He, he, he. Czyż nie jestem genialny?!

Więc kłopotów z nauką póki co koniec. Choć to trochę krótkowzroczne rozwiązanie.

Jak przyjdzie zakończenie półrocza, może być ze mną krucho. Ale o to będę się martwił za kilka tygodni. Wepchnę sobie najwyżej poduchę w gatencje i wtedy moja dupa będzie bezpieczna niczym kasa w Fort Knox. Arek tak robi, Tadek zresztą też. Mają chłopcy rację.

Wprawdzie u nich są na chacie ojcowie z ciężkimi łapami, a tu nie, ale moja mamuśka też potrafi przywalić, jak się ją wyprowadzi z równowagi. W takich kryzysowych sytuacjach właściwie jestem hepi, że nie mam ojca. Musiał być niezły kawał frajera, skoro zostawił mnie i mamę. Nawet lepiej, że nigdy go nie poznałem. Pewnie by mnie lał, wyżywał się na mojej biednej dupencji za własne porachy... Jak widzę kumpli, po wywiadówkach poobijanych jak nieboskie stworzenia, to aż skóra mi cierpnie. Najbardziej przesrane ma chyba Tadek. Niedawno pokazywał, jakie mu piękne ślady po kablu zostały. Wyglądał dosłownie jak człowiek-zebra. Ciągle mam przed oczami te sine pręgi na jego plecach, szyi... No kurwa, brak słów... Jego starszy powinien trafić do czubków. Serio tak myślę.

Świrów trzeba izolować. Szczególnie tych niebezpiecznych dla siebie i otoczenia. Nie ma przebaczenia. Dla skurwieli litości nie ma.

Biorę komórasię i wykręcę numer Arka. Skoro nie będę już dziś kuł jak dziki, mogę skoknąć do niego i pograć trochę na GameCubie. Nie ma co tracić czasu na siedzenie na kwadracie i smędzenie nad niewesołym losem. Jak się tylko zacznę dołować, to potem jakoś to leci, robi się coraz gorzej. Wszystko marność nad marnościami po prostu, vanitatum. Ech... To mógłby być tytuł mojej autobiografii. „Marność”. Co ze mnie w ogóle za kolo? Bez dziewczyny. Bez konsoli. Bez własnego telewizora. Za to z kompem pamiętającym chyba

czasy starożytne, jak się jeszcze waszym filozofom o piramidach nie śniło. No pokażcie mi drugiego gościa w moim wieku, co musi się zadowalać Pentiumem setką, ciupiąc w skaczącego Quake'a jedynekę, gdy wszyscy wokół dawno gierkują w czwartą część serii. Ech, szkoda słów...

*

Biiip. Biiip.

- Csssso jest, Andrzejku?

Arek brzmiał, jakby był na srogim kacu. Takiego głosu nie mają uczniowie szkółki niedzielnej, możecie mi wierzyć.

- No witka, stary. U mnie wporzo - powiedziałem.

- To dobrze, bo u mnie chujozza jakich mało. Młyn i załamka... Po co dzwonisz?

- Jaka chujozza? Jakbym miał GameCube, to bym nigdy nie miał ani cienia żadnej chujozzy. Odpal i ciupaj w jakieś giery, zamiast skomleć niczym kot po kastracji.

- Człowieku! A na wała mi konsola, jak się muszę uczyć? Ty nie zakuwasz? No nie żartuj... Jutro z biolcy jest niezły Sajgon. Normalne, kurwa, Sarajewo pod ostrzałem.

- No wiem, wiem.

- I nie peniasz? Prze dzik jesteś.

- Żaden prze dzik. Po prostu nie idę. Udaję chorego. Oscarowa rola, Złoty Glob za scenariusz.

- Chorego? Na co?

- Ptasia grypa z przerzutami.

- He, he, he.

- Rak mózgu oraz bajpasy czaszki. Ektoplazmatyczne smarki. Odra, Wisła i Wodzisław.

- He, he. No to prze kutas jesteś. Ale ja muszę i nie ma bata. Po ostatniej wywiadówce stary powiedział, że mi nie przepuści.

- Nie pierdol. Chodźże, pogramy w coś. Nudzi mi się jak cholera.

- Nie mogę. Na samą myśl o laniu dupa mnie zaczyna boleć. Jutro powinienem skrobnać na co najmniej dostatecznie, jeśli chcę wyjść z tego cało i na sucho.

- Ech, stary, załamujesz mnie.

Zamilkł na moment, jakby się nad czymś namyślał. Uznałem, że to dobry omen.

Gdyby twardo upierał się przy swoim, ta rozmowa byłaby już dawno skończona, a ja bym teraz ewentualnie wsłuchiwał się w głuchy sygnał.

- Słuchaj, Andrzejku. Krótka piłka. Jeżeli aż tak chcesz, wpadnij.

Ha!

Nie pomyliłem się!

Jasnowidzenie to wielki dar, ale za wielkim darem idzie wielka odpowiedzialność, jak to mawiał wuj do Spidermana.

- Serialnie?

- Tak, możesz się kopsnąć. Pociupiesz se z godzinkę, ale ja w tym czasie będę rył, aż wióry polecą. Powiem rodzicom, że mi przyniosłeś dodatkowe notatki, czy coś w ten deseń.

Jaką ściemę walnę, że ty z biolcy niby jesteś najlepszy w klasie, najlepszy z najlepszych po prostu. Powinni to kupić, oni się raczej słabo orientują.

- Rewelka. Dzięki, stary. Gdyby nie ty, to bym tu chyba zgnął z nudów.

- Tylko weź jakiś zeszyt, żeby to wyglądało, że przyszedłeś się pouczyć. Ok.?

- Mnie nie musisz powtarzać dwa razy.

*

Na chatę do Arka wpadłem jakieś pół godziny później. Pełna kultura i dobre wychowanie, stuprocentowa punktualność. Oboje jego starsi siedzieli wtedy przed tivi, oglądali serial czy coś w tym typie. Normalnie jak zahipnotyzowani: o rany, co będzie, czy Marylka urodzi chłopca czy dziewczynkę, czy kurwa ośmiorniczkę. Czy Pani Jadzia pokocha Pana Franciszka miłością szczerą, czy może raczej Antoniego, znanego w powiecie ściemniacza i kreatora zbiorowych fatamorgan. Kto komu zrobi wałek, kto kogo wydyma ustawowo, no ciekawe, ciekawe, co to będzie, bo będzie się działo, a jak...

Przywitałem się i wyjątkowo ostentacyjnie wyciągnąłem z plecaka zeszyt. Żeby zobaczyli, że ja tu przyszedłem na ostre kucie, rycie do utraty tchu. Ojciec Arka nie zwrócił na ten mój gest najmniejszej uwagi, ale matka wyglądała na zadowoloną.

- Dobrze, pouczcie się razem, chłopcy. Może wam tą metodą więcej do głowy wejdzie - powiedziała.

Aruś leżał na wyrku w swoim pokoju. Nos w książce, zero kontaktu, klapy na gałach, autyzm wersja extreme. Pojękiwał cicho, widać było, że chłopak już nieco nadwerżył mózgowicę i teraz ma pewnie w szarych komórkach zakwasy czy coś w tym stylu. Ja zawsze mówię: „nauka nie zajac” i staram się nie przepalać procesorka, nie mam przecież czapki z radiatorem ani wiatraczka na czole, więc na wszelkie przegrzania jestem wyjątkowo narażony. Czytałem raz artykuł o ludziach, co przez kłopoty w szkole w dorosłym życiu dostawali depresji albo psychozy i popełniali samobójstwa w najprzeróżniejsze możliwe

sposoby. No, ale spróbujcie to wytłumaczyć nauczycielom...

- Elo, ziomuś, co tam? Wyglądasz na zmarnowanego. Jesteś prawie zielony. Niczym wywar z grzybków halunków - zażartowałem, choć on faktycznie był w stanie ciężkim, wręcz krytycznym, wskazującym na nieprzeżycie. W takim przypadku nawet genialny doktor Clooney załamałby ręce i poniechał starań.

Westchnął z rezygnacją.

- A weź mi nie pierdol, stary. Uczę się już od ponad dwóch godzin i dalej niczego nie mogę zapamiętać.

- To pewnie przez dziury w mózgu. Niby czytasz, a literki zamiast się zapamiętywać, wylatują z drugiej strony i pizd na ścianę. Trzeba mniej skunika jarać. Ograniczenie palonka i więcej ruchu na świeżym powietrzu. Jogging, a nie arytmetyka i artretyzm. Takie są moje zalecenia dla pana, panie pacjencie, receptę wyślemy pocztą... Sto zeta się należy, a jak nie, to będzie strajk generalny i szlaban na Centrum Zdrowia Dziecka!

Rozsiadłem się w fotelu i ziewnąłem. Życie jest piękne, gdy nie wisi nad tobą żaden obowiązek. Możesz robić, co chcesz, i mieć wszystko w głębokim poważaniu. Cudowna sprawa. Mógłbym tak spędzić całą wieczność. Obijać się jak bila w pinballu. Bujać się po mieście. Czekać na emeryturkę. Na drinki z palemką i seksi laski, masujące mą niechybną łysinę.

- A ty się nie boisz, Andrzejku? Przecież jak będzie wywiadówka, to chyba ci się nieźle po dupie dostanie. Z ilu będziesz miał pały na półrocze? Z trzech?

- Nie, dwóch.

- Z czego?

- Z majcy i polskiego.

- A biologia co?

- Mierny. Hłe, hłe! I właśnie dlatego jutro nie idę. Żeby sobie tego mocnego miernego nie osłabić żadną pałką, która bezapelacyjnie by mi przecież wpadła. Nie ma co ryzykować, narażać na szwank własne pośladki.

- No widzisz. Mi grozi tylko jedna lufa, ale właśnie z biolcy. Jakbym za to jutrzejsze dostał trzy albo wyżej, to po kłopotcie. A jak nie dostanę... święci pańscy nie pomogą.

- Ja tam nie wymiękam. Nawet jak się matka wkurwi, najwyżej trochę ponarzeka i kropka. Może mnie tam trzepnie raz albo dwa, ale to tyle, co nic. Nie poczuję tego.

Arek aż zmrużył oczy z zazdrości. Było jasne, że on, chociaż ma lepsze oceny od moich, dostaje równo po dupie. Dlatego właśnie myślę, że lepiej nie mieć ojca. Generacja X rządzi i nie ma żadnego lania, he, he! To jest tak, jak kiedyś powiedział Tadek: „Matki są

miętkie, ale starszego nigdy nie przegadasz”. Ja na szczęście żadnego starszego nie muszę przegadywać. Bo inaczej to bym łąził nieźle posiniaczony, niczym wypadłe z siatki jabłko, szczególnie za takie wyniki w nauce, jakie są.

- Nawet mnie nie denerwuj - szepnął.

Rzuciłem zeszyt w kąt, a potem ruszyłem w stronę stolika, gdzie stał telewizor i konsola. Chciałem trochę pogrzebać w gierkach, zanim wybiorę coś odpowiedniego na dziś.

Za oknem po niebie sunęły wolno chmury, czarne jak cadillaki ciągnące na czyjś pogrzeb.

Nie pamiętam, kiedy nam się pogoda zaczęła pierdolić, ale trwało to już chyba od dość dawna. Od horyzontu po horyzont pochmurno jak na gębie wiecznie wkurwionego starca.

No i te ciągłe ulewy. Musiała się aniołkom popsuć kanalizacja, jakaś rura pierdykła i zalało nas, sąsiadów z piętra niżej. Istny potop, a mieszkanie Arka to w tej chwili moja jedyna arka.

- Nie bądź taki pewien, że sobie pociupiesz - powiedział nagle kumpel, nie ukrywając jakiejś sadystycznej satysfakcji.

Luknąłem na niego spode łba.

- Co sugerujesz, stary?

- Telewizor się dziś przez pół dnia jebał, więc nie wiem, czy odpali.

- To dopiero teraz mi mówisz? Nie mogłeś przez telefon? Po co lazałem do ciebie, z buta poprzez osiedle, jak nawet zagrać nie mogę? Ja pierdołę, kurwa obciach, zgroza, zgroza, zgroza...

Koleś zaniemówił.

Zatkało kakao, cholera jasna.

- Bo ten... No... Może odpali, skąd ja mam niby wiedzieć? - odparł i schował ryj w książce, gdzie było jego miejsce.

Ej, on coś ściemnia, lepiej nie słuchać, nie poddawać się dołującym klimatowi - pomyślałem. Jak szło o takie sprawy, byłem optymistą. Pesymistą stawałem się dopiero, gdy w grę wchodziła nauka, albo umawianie się na randki. O tak, z tym mi nigdy nie szło.

Czasem nawet zastanawiałem się, czy nie jestem pedziem, skoro większość lasek olewała mnie ciepłym sikiem z góry na dół. Może powinienem wyjechać na Brokeback Mountain i tam czekać na pastucha, z którym połączy mnie wielka nieskończona miłość i razem odjedziemy na krowie w kierunku zachodzącego słońca? Rany, w jak wielką desperkę musiałem popadać, skoro znów obmyślałem takie oscarowe scenariusze...

Przeglądałem pudełka, nie wiedząc, co wybrać. „Eternal darkness”, „Luigi’s Mansion”, „Resident Evil Zero”... Arek był dość przy kasie, miał sporo gier, ale w tym wypadku od przybytku głowa raczej boli. Nie wiadomo, za co się zabrać, taki wybór, taki przepych, taki Wersal. Po dłuższym namyśle padło na drugą część „Metroida”. Słyszałem, że jest niezła, miała bardzo dobre oceny w prasie, podobno już samą grafą wywoływała opad kopary, a i grywalność stała ponoć na naprawdę miodnym poziomie.

Włożyłem płytkę do konsoli i odpaliłem sprzęt. Wydawało się, że na razie wszystko działa jak należy.

- No i co żeś krakał?! - krzyknąłem. - Sam zobacz. Jest ok!

- Ale coś miga - odparł.

Luknąłem na ekran. Menu gry przeskakiwało z góry na dół jak powalone.

- O nie. O Kurwa. O Jezusie... A nie da się tego jakoś dostroić, opanować?

Przez następne dwadzieścia minut próbowaliśmy naprawić usterkę, ale cały czas, zamiast na grę, telewizor nastrojał się sam na jakiś gówniany program o emerytach i rencistach. Myślałem, że mnie trafi. Chce się człowiek kulturalnie odprężyć, bo czeka go ciężki wieczór pełen chorób i udawania, a tu nic.

- Widzisz, nie działa. Mówiłem. Od wczoraj mi się wpierdala na kanał Gamecuba ta porąbana stacja. Nie wiem, co to ma być. I nie chcę wiedzieć.

- A na inny kanał nie można konsoli ustawić?

- Nie, za chuja, ja mam mało programów na tym sprzęcie, nie będę go rozregulowywał, bo jeszcze mi się pogubi Viva i MTV. A na AV też nic nie wchodzi, bo to z kolei jest zjebane tutaj, patrz...

Westchnąłem ciężko, jakbym był Atlasem, dźwigającym na swych barkach cały przeklęty świat, tę kulę gówna, ten monsturalny szajs.

- Dobra. Poddaję się. Już tego nie ustawiam, nie kombinuje. Pooglądam tą Telewizję Trwam, a co mi tam - stwierdziłem w końcu.

- To nie żadna Trwam, tylko jakieś niewiadomo co. Popłuczyny po „Klanie”. Szarzy ludzie na szarym tle. Czarny kwadrat w dupie, dzieło cenne choć głupie... Saga o bokowiskach, odcinek dwa tysiące szósty.

Zacząłem przyglądać się, co tam się dzieje na ekranie, nie bacząc już, co nawija Arek. A działo się tam co? Niewiele. Emerycy zniknęli, zamiast nich wskoczyli facet z babką. Miałem wrażenie, że skądś ich znam. Stali tam sobie, tak po prostu. Nie robili niczego konkretnego. The Totalna Nuda Show. Po chwili facet wyszedł i kobieta została sama. Była nawet dosyć ładna. Tylko trochę za stara jak dla mnie. Mogła mieć już pod trzydziechę. Wolę

jednak młodsze. No ale nic, ta była nienajgorsza, jak na swoje lata, by już skończyć z moim pieprzeniem na ten temat. Na moment wyszła, potem wróciła. Kompletny brak akcji. Usiadła w fotelu. Mogłaby chociaż trochę pobiegać, poskakać. Ale to nie był

Słoneczny Patrol, nie były to rozległe amerykańskie plaże, gdzie kształtnych cycków dostatek. Gapiła się w telewizor, na którym szło coś, czego nie było widać, przynajmniej nie z naszej smutnej perspektywy. Ale musiało to być straszne, bo babka wyglądała na przerażoną. Pewnie oglądała jakieś masakryczne gore, flaki fruwające z góry na dół, prawdziwe krwawe tornada.

- Ty mnie w ogóle słuchasz?! - krzyknął nagle Arek.

- Co? O czym ty do mnie rozmawiasz?

- Mówię, że ta laska to przecież Anka.

- Anka? Jaka Anka?

- No ta, wiesz, co mieszka ze dwa bloki dalej. Nie poznajesz?

Raz jeszcze rzuciłem okiem na ekran.

- Fuck... tycznie. Anka - szepnąłem. - Nie wiedziałem, że ją wzięli do mediów.

Anka była podobno kuzynką Tadka. Przynajmniej tak nam powiedział, jak kiedyś przechodziła obok naszej szkoły, kołysząc tyłeczkiem jakby nim nas chciała ochłodzić w tamten upalny dzień. Nie wiedzieliśmy o niej nic więcej, niż że mieszka na naszym osiedlu i jest niebrzydka. Nieraz to nawet nie wiadomo, kiedy twoi sąsiedzi robią się sławni. Teraz każdy może mieć swoje pięć minut na antenie. Pewnie i mnie się kiedyś uda, choć mi do tego nieśpieszno. Jak to mówią - najpierw rodzina, potem kariera. By mieć samochód i bulteriera.

Pii-biiip! Pii-biiip! - do Arka przyszedł sms.

- To Kazek. Pisze, że jest pod blokiem i ma dla nas niespodziankę.

- Możemy zejść - ja na to. - Tu w sumie nie mamy nic ciekawego do roboty. Chyba, że nie chcesz przerywać kucia. Jak uważasz?

W telewizji nie pokazywali już Anki. Teraz był pusty pokój, pośrodku którego stał stary, wyłączony telewizor. Na ścianach wisiały dziesiątki, a może nawet setki luster.

Wszystkie bez wyjątku odbijały stojącego przed nimi grata. Złom z ciemnym jak dupa zbita ekranem, podniesiony to entej potęgi. Kompletny bezsens. Sen cierpiącego na paranoję pojeba. O czym niby miał być ten program? A może oglądałem właśnie jedną z tych awangardowych rzeźb? Telewizor w lustrzanym pokoju. Coś, co można postawić w jednym rzędzie z futami na krzyżu i gównami w foliowych woreczkach. Tragedia. The Extreme Żenada Event.

- Wiesz, Andrzejku, jak tak patrzę na ten podręcznik, potrafię myśleć tylko o jednym.

Żeby to wszystko pierdolić, rzucić szkołę, zostać ninja... Chodźmy lepiej na dół.

Potem się najwyżej jeszcze trochę pouczę, choć wątpię w to coraz bardziej.

*

Jak się okazało, „niespodzianka Kazka” to nie było nic innego jak lufka nabita po brzegi skunikiem. Też mi niespodzianka! Cud, kurwa, nad Wisłą! Za parę złotych można coś takiego dostać w prawie każdym bloku. Specjalna okazja dla dzieciaków, których nie stać na całego grama, a chcą się z deczka upizgać. Telezakupy Mango, pójdźmy z zielarzem w tango. Problem w tym, że taka ilość towaru z reguły nie starczała nawet na łebka.

Przynajmniej jak chodzi o towar dilowany na naszym osiedlu. Do czystości było mu daleko.

Zawsze dopychali go jakimś sianem, które za nic w świecie nie chciało kopnąć, choćby nie wiem jakiej fazy się człowiek spodziewał.

- Ja dziś nie jaram - powiedział Arek. - Zawalę jutro biologię, to mnie stary zajebie żywcem.

- No i dobrze. Ty się przejmuj kuciem, będzie więcej dla nas - odparł Kazek robiąc taką maksymalnie wkurzającą minę. Minę pewniaka, zjadacza wszystkich rozumów. Nie lubiłem gościa. Palił może z pięć razy w życiu, ale w szkole zgrywał takiego, który się z blantem nie rozstaje. Co za porażka.

Podał mi lufkę i zapalniczkę. Płomień zgasł chyba z dziesięć razy, zanim się zaciągnąłem. Nie dziwota. Takiego deszczu i wiatru dawno nie widziałem. Piździło jak się patrzy. A my, idioci, staliśmy przed klatką, bo baliśmy się, że w środku ktoś nas złapie i będzie jazda. A w sumie co za różnica, tu czy tam? Od wejścia dzieliły nas jakieś trzy metry. Jeśli ktoś by akurat wychodził, nie zdążylibyśmy nawet schować fifki do kieszeni. Mogliśmy liczyć chyba tylko na to, że sąsiedzi okażą się w miarę li... no, ten tego... li-beralni. Że głosowali na PO. Bo jak na PIS, no to będzie kiks. I szybki zjazd na detoks.

Długo trzymałem dym w płucach. Jak wreszcie wypuściłem, poczułem się, jakbym wyrzygał wnętrzności. Serio. Wszystko w środku mnie piekło. Zakaszlałem. Kazek wybuchnął śmiechem.

- Cio to? Jeście siem dzieciątko palić nie nauczyło?

Jak tylko przestałem kasłać, zaciągnąłem się znowu. A co tam! Tym razem pomyślałem, że będę twardy, nie wypuszczę chmury, ani pary z gęby, dopóki nie poczuje pierwszych oznak fazy, choćbym miał na tym wdechu zostać do końca życia i jeden dzień dłużej. Skunika było jak na lekarstwo, nie należało go przeznaczać na marnację...

Nagle patrzę i co? I jak stracha nie złapię! Bo zobaczyłem jakiegoś dziwnego mężczyznę, wyłaniającego się ze spowijającej nasze osiedle mgły. Taki lęk mną trząchnął, że momentalnie wypuściłem dym.

Zrobiło mi się sucho w ustach.

To był przecież ten sam facet, którego przed chwilą oglądałem w telewizji! Ten, który był u Anki, rzekomej kuzynki Tadka. Nawet dość tak przypakowany, widać było, że na odżywkach nie oszczędza, może nawet koksy wali. Ale wcale nie poruszał się jak na sportowca przystało. Szedł przygarbiony niczym dziadzio. Wywnioskowałem, że on tak naprawdę tylko udaje młodego, a w rzeczywistości to ma z osiemdziesiąt lat, jak nie lepiej.

- Wyglądasz jakbyś uwiidził ducha - zaśmiał się Arek.

- My... My wszyscy... Jesteśmy duchami.. Zawsze byliśmy - wyszeptałem bez ładu i składu.

Moje czoło było tak ciężkie jakbym miał ołów w zatokach.

Pochyliłem się, bo coś mnie nieludzko ciągnęło ku ziemi. Ona była niczym gigantyczny magnes, a ja byłem z metalu, cholernego metalu i nie mogłem się jej oprzeć.

Straszliwa siła grawitacji dosłownie wgniałała mnie w glebę, nie znała litości. Och, Święty Newtonie!

Upadłem na kolana.

Zaparłem się rękami, ale Matka Ziemia chciała mnie zjeść, otwierała już swoje czarne usta, żeby mnie pochłonać, zeżreć jednym kawałku, strawić. Widziałem to wszystko, co się zaraz stanie. Widziałem, jak mnie żre, jak mnie żrą pełzające w niej robaki, ich zęby też widziałem i jadowitą ślinę... Jakbym był mięchem kupowanym na hali całymi kilogramami, a kości to już gratis...

Arek i Kazek zaczęli się śmiać jak opętani.

- Ło w kurwę! Ale go skopało! - krzyknął któryś.

Ostatnie słowo dźwięczało mi w uszach niczym echo.

Skopało, skopało, skopało...

Mężczyzna z telewizji minął nas i zniknął w gęstej mgle.

5

Czwarta nad ranem, a Paweł nadal przed telewizorem. Już od sześciu godzin, non-stop. Dużo skakał po kanałach, nie mógł znaleźć niczego odpowiedniego. Oczy piekły.

Drgała lewa powieka. To pewnie z przemęczenia, pewnie z przemęczenia.

Nudno, nudno, nudno. Jak podczas pierwszego razu z wyjątkowo cnotliwą laską -

myślał.

Mimo że w mieszkaniu nie było nikogo innego, Paweł co chwilę odwracał się nerwowo za siebie, jakby chciał sprawdzić, czy nie ma tam gdzieś w tle zamaskowanych napastników. Naoglądał się zbyt wielu filmów o paranoikach. Oni są wszędzie. Znają twoje myśli. Chcą cię dorwać. Ech, co za bzdury. Tylko że teraz, siedząc w ciemnym pokoju, przed telewizorem, człowiek był bardziej podatny na różne sugestie, nawet te najbardziej absurdalne. Zupełnie jak po kwasie. Lecisz z nami, stary? Zapewnimy ci tripa, którego nie zapomnisz do końca swoich dni. Łyknij to i obejrzyj „Martwicę Mózgu”. A potem napisz referat pod tytułem, „Co Peter Jackson chciał nam przekazać?” albo „Czego symbolem jest szczyromałpa z Wyspy Czaszek?”... Być może w każdym filmie kryje się jakieś drugie dno, któż to może wiedzieć? Czasem jest ono jednak schowane tak głęboko, że na trzeźwo zupełnie nie idzie się do niego dokopać.

Na programie trzynastym szedł serial. Opowieść z życia wzięta: Ona kocha jego, ale on kocha inną, a ta inna jest lesbijką i kocha tą, która kocha jego. Wszystko to podane w sosie obserwacji społecznych wątpliwej wartości. Nieziemskie pierdoły. Nikt nie przeczy, że coś takiego rzeczywiście mogłoby się wydarzyć, ale po co to zaraz uwieczniać na taśmie?

Na Vox'ie pokazywali fragmenty pokazu magicznego. Nie był to jednak show żadnego Copperfielda czy innego Blaine'a, tylko występ jakiegoś mniej znanego i nie tak przystojnego „czarusia”. Paweł od dziecka fascynował się tą tematyką, miał nawet w domu kilka książek, z których można było się nauczyć najprostszych trików. W młodości chciał zostać albo sławnym iluzjonistą, albo założyć najzabawniejszy w Polsce kabaret. Nic mu oczywiście z tych planów nie wyszło, co było do przewidzenia. No ale Paweł nie był też niestety prorokiem... Facet na ekranie najpierw zmienił czerwoną różę w białą, następnie sprawił, że kwiat stanął w płomieniach, a potem zmienił go z powrotem w zwyczajną różę.

Nie było to zbyt wykwintne, za to miłe w oglądaniu. Niestety po tej sztuczce pojawiły się napisy końcowe, więc Paweł odruchowo włączył następny kanał...

Program dwudziesty - Animal planet - prezentował audycję na temat pewnego rzadkiego gatunku gadów. Stworzenia te wprost nie znoszą samotności i jeśli są zmuszone do życia w izolacji, dostają pierdolca. Oczywiście autorzy programu użyli innego określenia. Pierdolec tych stworzeń miał przypominać nieco schizofrenię. Poszczególne okazy zaczynały widzieć świat w zupełnie nowy, niezwykły sposób. Trwały badania nad tym zjawiskiem.

Czterdziestkę natomiast opanował... porno! Czyli tak zwane „nowoczesne kino artystyczne”. Film, będący przedstawicielem „nowoczesnego kina artystycznego”, opowiadał o ludziach, którzy nie robią praktycznie nic poza uprawianiem seksu i paleniem papierosów.

Ich „rozmowy” podczas stosunków brzmiały mniej więcej tak: - Och, rznij mnie Marcell, rznij mnie mocniej.

- Uch, uch, uch, o, tak, kotku, czyńmy to dla pokoju na świecie, dla dobra dzieci w Afryce...

A dialogi podczas wspólnego palenia prezentowały się w sposób następujący: - Życie jest wręcz niewyobrażalnie puste, odkąd Bóg umarł, nieprawdaż?

(zaciągnięcie się).

- Też tak uważam (zaciągnięcie się). Ludzkość stacza się w bezdenną otchłań.

- Czy jest dla nas jeszcze jakiś ratunek? (wypuszczenie dymu).

- Och, naprawdę nie wiem, Marcell. Może miłość fizyczna przybliży nas do odpowiedzi. Złożmy kolejną ofiarę na ołtarzu Erosa. (wypuszczenie dymu).

Paweł doszedł do wniosku, że scenariusz w tym obrazie stoi na zdecydowanie niższym poziomie, niż scenariusz w zwyczajnym porno. Nakręcenie go kamerą z ręki również nie ułatwiało odbioru, robiło z tego „dzieła” erotyczny „Blair Witch Project”, i trzeba się było domyślać, czy fragment ciała, który aktualnie widzimy na ekranie, to cycek, łokieć czy może kolano.

Dlatego też Paweł postanowił rzucić okiem na dwudziestkę trójkę, gdzie parę dni temu odnalazł dziwny, prawdopodobnie piracki program. Ten sam, który niedawno z tak mizernym skutkiem próbował polecić Ance. Wprawdzie i tam nie spodziewał się zobaczyć niczego godnego uwagi, ale już wolał pogapić się na sąsiadów, niż tracić czas na jakieś pretensjonalne bzdety.

Zmienił kanał i dosłownie zamarł z wrażenia.

Albo wzrok go mylił, albo na ekranie był on sam.

Kolejne ujęcie pokazało jednak, że był tam z kimś... a konkretnie z Anką.

Znajdowali się w pomieszczeniu przywodzącym na myśl koszmary emerytowanych ginekologów. Czerwone, półprzezroczyste ściany pulsowały niezbadanym rytmem, ociekając organicznymi sokami. Podłoga oraz sufit wznosiły się i opadały powoli niczym klatka piersiowa konającego. Zewsząd emanowało przytłumione światło, migające jak zepsuta latarnia. Czymkolwiek było to miejsce, odnosiło się wrażenie, że jest ono... wewnątrz... czegoś... Być może wewnątrz jakiegoś gigantycznego stwora, a może po prostu wewnątrz czyjegoś pokręconego umysłu.

Paweł klęczał przed dziewczyną. Między nogami ścisnął pilota od telewizora. Drżał z podniecenia, uśmiechał się lubieżnie, jakby przeczuwał, że nadchodzi spełnienie. Anka leżała na podłodze, rozkładając szeroko nogi. Choć być może użycie w tym miejscu jej imienia jest

sporym nadużyciem. To coś miało wprawdzie twarz jego koleżanki, ale wyglądało niczym obrzydliwy mutant, człowiek zrosnięty z telewizorem, straszliwy owoc nieznanych nam jeszcze etapów ewolucji, gdy technika i biologia będą stanowiły jedną gałąź... Ekran pomiędzy udami, elektronika prześwitująca spod cienkiej skóry... kable zamiast żył...

Scena seksu, jaką ujrzał parę sekund później, gdy jego medialne alter ego wbiło swojego pilota w połyskujący czernią ekran partnerki, była tak odrażająca, że aż zwymiotował na podłogę.

Przez następne minuty siedział, trzymając się za pulsujący bólem brzuch i nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. Mimo że pójście z Anią do łóżka było czymś, o czym od dawna marzył. Ale nie w taki sposób, do diabła, nie w taki sposób! W najgorszych koszmarach by tego nie wyśnił, nie uroił sobie na najciemniejszej fazie.

Ktokolwiek był twórcą programu nadawanego na kanale dwudziestym trzecim, musiał to być człowiek chory psychicznie - zawyrokował Paweł, kiedy już doszedł do siebie na tyle, by móc normalnie rozumować. Jedynie schizofrenik w najcięższym stadium psychozy byłby w stanie wymyślić taką scenę. Ale w jaki sposób ten świr to nagrał? Jak uwiecznił Pawła i Ankę w tym odrażającym akcie? I dlaczego akurat ich? Po co w ogóle ktoś zrobił coś tak.. popierdolonego?! To nie była żadna sztuka, to był kurewski zamach na nich, terroryzm mentalny, bombardowanie umysłu obrazami, które nie powinny mieć w ogóle prawa bytu.

Ekran zamigał kilkakrotnie. Po chwili na pojawiła się Anka, tym razem wyglądająca normalnie. Ona też oglądała teraz telewizję. I na dodatek był to kanał dwudziesty trzeci.

Dziewczyna była kompletnie roztrzęsiona. Odgarniała niespokojnie włosy, co kilka sekund przysłaniała dłonią usta, drapała policzki i szyję. Jej twarz wyrażała coś pomiędzy strachem a zniesmaczeniem. Paweł wiedział dlaczego. Musiał teraz wyglądać podobnie. Ona obejrzała przecież tę samą audycję. Łączył ich w tej chwili ten sam makabryczny program..

II. Echo

1

Olek złapał ciepłą posadkę w jednym z ogólnopolskich pism muzycznych i był z tego powodu szczęśliwy jak nigdy. Przynajmniej do czasu. Bo tak to już bywa, że rzeczywistość prawie zawsze okazuje się znacznie gorsza niż nasze naiwne wyobrażenia o niej. Myślimy sobie: to jest wspaniale, to jest cacy, a tu nagle... zonk. Gówna spada na wiatrak, rozpryskując się po ścianach. Niespodziewanie wychodzi na jaw, że wszystko, co wcześniej tak nam się podobało, wszystko, czemu chcieliśmy się poświęcić, gotowi odsunąć resztę w drugi plan, to tak naprawdę chujowizna jakich mało. Ułuda rozplywa się nagle, przed nami staje naga

prawda - obleśna starucha, której daleko do młodzieńczych ideałów rodem z rozkładówek, jakie każdy z nas chował kiedyś pod powiekami. Tak też rzecz się miała w przypadku nowej pracy Olka. Z początku świetnie i z górką, ale później... ale później...

- Jak oni się nazywają?! - spytał z niedowierzaniem.

- Zdzieracze skalpów - odparł rednacz, wieprzek w marynarce za dużej o dwa rozmiary, bo innej by nie dopiął. Znacie takich fagasów: różowe gęby, woń drogich cygar i taniej wody po goleniu, zawsze spoceni, zima czy lato, zawsze mają ciemne plamy pod pachami, a ich czoła nieodmiennie są zroszone jak łąki o poranku. - Nie zawiedziesz się, facet.

- Uhum. Jasne.

Olek nie zawiódł się tylko za pierwszym razem. Kobiece trio Wycieraczki naprawdę dało czadu. Tamten koncert to była czysta, nieposkromiona, punkowa energia. Wokal jak Courtney Love z czasów „Live through this”, bębny przypominające miażdżący wszystko na swej drodze czołg. Pełna sala, wszyscy połączeni tą samą niewypowiedzianą więzią, pełne zrozumienie w oczach każdego słuchacza: to tu jest prawdziwe życie, a tam, w biurze, w trumiennych garniakach, człowieku, to tylko śmierć, tylko śmierć i diabeł, puszczający emaile, rozdający awanse... Nawet relacje pisało mu się z przyjemnością, przytupując do rytmu wciąż jeszcze dźwięczącej w myślach perkusji. Wspaniała sprawa, czysto oldschoolowy klimat. Jakby początek lat dziewięćdziesiątych wciąż był w pełnym rozkwicie, a cały ten plastik, całe to wywijanie dupami nigdy nie załapało się choćby na ochłap kontraktu. Później jednak było tylko gorzej, z imprezy na imprezę coraz głębsze dno.

Słusznie przypuszczał, że tak będzie i tym razem. Zdzieracze skalpów nie zrywali swoim graniem kasku z głowy. Jeżeli cokolwiek zdzierali, to tylko swoje gardła.

- Co? Myślisz, że będą słabi?

- Nie no, skądże - skłamał. Znał „gust” szefa i wiedział, czego się spodziewać po wychwalanych przez niego kapelach.

- To czterech naprawdę doświadczonych muzyków. W podziemiu robi się o nich głośno już od paru lat. Ich wokalista, Chryja, udzielał się swego czasu na drugiej płycie Radioaktywnych. Pamiętasz jeszcze tych wariatów? Mogli być, kurwa, polskim Butthole Surfers!

Olek pamiętał ich koncert, a kiedyś kupił nawet jakieś płyty. Byli zdecydowanie do dupy. Grali noise, który brzmiał jak pierdzenie - niczego w tym momencie nie ujmując pierdzeniu. Mimo że każdy instrument w tym zespole fałszował na własne konto, wokół zdecydowanie wybijał się na tym tle swoją nieudolnością. To nie był śpiew, ani growl, ani

melorecytacja, tylko jakieś nawiedzone mamrotania. Już w szpitalach można usłyszeć lepsze rzeczy, a gdyby się tak przejść po izolatkach, z pewnością wyłowiliby się znacznie większe talenty. Do tego te ich niby zaangażowane teksty! Dramat. Zupełnie nie szło tego słuchać. W dodatku ta druga płyta była zdecydowanie ich najgorszą! Chryja zaniżył i tak już katastrofalnie niski poziom grupy. Potem wydali jeszcze jakąś EPkę, o której wszyscy bardzo szybko zapomnieli, i słuch o nich zaginął.

- Tak, pewnie. Byli naprawdę... mocni.

Naprawdę mocne to były na tamtym koncercie wyłącznie piwa - dodał w myślach.

Bez wątpienia zgodziłaby się z nim większość słuchaczy, którzy mieli nieszczęście być tam wtedy, przynajmniej większość tych w miarę trzeźwych, bo reszta już na drugi dzień nie pamiętała, że taki zespół w ogóle istniał. I ci mieli największe szczęście. Wszelką traumę lepiej zalać czymś wysokoprocentowym, aż nie zostanie po niej żaden ślad.

- No. To i tym razem chłopcy zapewne dadzą po garach.

Nie dali... Po prostu nie dali rady. A po ich występie Olek zaczął się zastanawiać, czy nie rzucić tej roboty w cholerę. Muzyczny cyrk działał mu już na nerwy. Nie wiedział jak długo jeszcze wytrzyma, zanim coś w nim pęknie i - podobnie jak kiedyś Michael Douglas w „Upadku” - wyjdzie na ulice zrobić porządek ze światem.

Potrzebował kasy, ale wiedział też, że robiąc w tej branży może stracić nie tylko słuch - zdrowy rozum także. No bo jak zachować resztki godności, resztki szacunku do samego siebie, jeżeli praca opierała się wyłącznie na kłamstwie i udawaniu, jak miało się pozostać jakim-takim racjonalistą, jeśli nawet najgorszy koncert trzeba było czasem opisywać słowami „niesamowity”, „porywający” bądź „niepowtarzalny”? Wszystko zależało od tego, czy szef dał akurat „zamówienie”. Bo jeśli rednacz powiedział: „pochwal chłopaków ze Zdzieraczy, są coraz lepsi!”, Olek musiał napisać: „Zdzieracze skalpów to prawdziwe objawienie polskiego podziemia. Grają z niezrównaną energią, porywając słuchaczy już przy pierwszym riffie”. Sprawa była jasna: albo zrobi, jak mu każą, waląc ściemę na z góry określoną liczbę znaków ze spacjami, albo niech - tu cytat - „zabiera swoje zabawki i wypierdala”. Ta sytuacja wydawała się Olkowi bardzo niezdrowa, wręcz tragiczna z etycznego i estetycznego punktu widzenia. Chwalił najgorszych rzępołów, pod niebiosa wynosił jakichś onanizujących się własnym fałszem kutasów z pretensjami, a po niezłych muzykach jeździł nieraz jak po łysych kobyłach. Z każdym dniem denerwowało go to bardziej. Nie po to od wczesnej młodości wyrabiał sobie gust, pożyczając od kogo się dało flotę na koncerty i płyty, jeżdżąc od festiwalu do festiwalu, żeby teraz stać się marionetką w rękach jakiegoś przygłuchego kretyna!

Dalej źle się czułem po wczorajszym paleniu. Niby, jak spytasz ludzi, to wszyscy ci powiedzą, że nie, o nie, po dobrym skuniku na pewno nie ma się kaca. Bo dobry skunik nie jest zły. Bo dwa-trzy buchy do poduchy dobrze robią na sen. Ale mi od rana było po prostu mdło. Mdło, jak nie wiem co...

To wielki krok dla człowieka, ale mały kroczek dla ludzkości - pomyślałem, wstając z łóżka i ruszając w stronę wiszącego w korytarzu lustra. Nadal byłem zbuchany na amen i nie wiedziałem, co z tym faktem począć. Przez kilka następnych minut dokonywałem szczegółowych oględzin swojej gęby. Z początku nie widziałem prawie nic, zupełnie jakbym gapił się w spieprzony telewizor. Sam śnieg, same zamiecie. Dopiero po chwili ja i rzeczywistość zaczęliśmy nadawać na tych samych falach. Wtedy ujrzałem katastroficzną prawdę w całej okazałości. I ze zgrozą stwierdziłem, że dziś wcale nie przypominam samego siebie. Szara skóra, sine usta, podkrążone oczy, spojrzenie szaleńca, który zamiast pacierza codziennie rano i wieczorem śpiewa sobie „I’m a loser baby, so why don’t you kill me?”. Przypominałem jakiegoś dziadzia w przeddzień agonii... Po zaledwie paru machach?

Jak to w ogóle było możliwe?

Cały czas miałem w pamięci ten powalony program, który obejrzałem u Anka. Być może to nie żadna lufka, a właśnie ta audycja była odpowiedzialna za moje dzisiejsze sfazowanie. Bo przecież chyba nie te dwie wczorajsze chmurki na krzyż!

Wydawało mi się nawet, że w nocy śniła mi się ta cała Anka i jej kolega - uczestnicy mocno ściemnionego reality show, przez które nie mogłem sobie pociupać na GameCubie.

Na szczęście jak się obudziłem, to nie pamiętałem tego snu prawie w ogóle. Wiedziałem tylko, że był koszmarny. I że przez pół nocy w mojej głowie niczym echo rozbrzmiewał czyjś bezsensowny krzyk: „prawy, lewy, złamany... prawy, lewy, złamany... prawy... lewy... złamany!”.

W końcu przestałem o tym myśleć, gdyż nielicho mnie suszyło. I na dodatek pulsowało mi w skroniach. A nic nie odwraca naszej uwagi od jakichkolwiek rozważań tak skutecznie jak ból.

Starszej na szczęście nie było na chacie. Widać poszła do roboty, zostawiając mnie samego i - tak, kupiła tę ściemę! - przeziębionego. Mogłem więc bez problemów łązić po mieszkaniu, poszukując czegoś do picia. Nie musiałem już udawać grypy. Teraz naprawdę czułem się chory...

Idę w stronę lodówki, gdzie mam nadzieję odnaleźć zgrzewkę mineralnej i minimum dziesięć litrów soku. Otwieram drzwiczki, w myślach już widząc siebie sączącego coś pitnego, chłodnego, ze słomką, a obok stoi jakaś laska, z Norwegii albo Szwecji, ponieważ w tych krajach jest znacznie większa niż u nas średnia objętość klatki piersiowej wśród kobiet, co każdego faceta dobrze nastraja do życia i prowadzenia szeroko pojętej działalności gospodarczej.

Patrzę, patrzę...

Lecz gównno!

Bo mnie suszy, suszy i suszy, a w lodówce jest tylko serek Hochland, z którego przecież niczego nie wydoję...

Obosze! Nie ma tu nic! Starsza nie zrobiła wczoraj zakupów!

Zostawiła mnie - chorego! - na pastwę herbaty bądź kawy, a ciepłego picia z rana po prostu nie trawię. Szczególnie jak mam Saharę w przetyku, wtedy dobrze mi robi tylko Cola albo Sprite. Ale teraz to ja byłem pragnieniem, a żadnego Sprite'a nigdzie nie było widać!

W lodówce nie było zupełnie nic. Ani kropli, do nędzy! To znaczy była jedna, ale tylko ta, co mi akurat skapnęła ze spoconego czoła.

Popadam w rozpacz, rwę włosy z głowy, obosze, obosze, obosze! fszzechmogoncy!

Z miejsca gotów jestem żłopać kranówkę, jednak powstrzymuje mnie przed tym wspomnienie sprzed roku, kiedy w moim gardle było równie sucho, i kiedy urzeczywistniłem plan picia wody z kranu. A potem spędziłem wiele godzin na kiblu, wyjąc z bólu i wydalając chyba wszystko prócz skóry i kości...

- Co mi pozostało? - pytam sam siebie.

Pozostała mi wycieczka do spożywcza, żeby czym prędzej uzupełnić niedobór płynów w organizmie. Pozostała mi przeprawa przez to smutne jak pizda osiedle. Szedł będę wolno, wolno, pobrzękując drobnymi w kieszeniach Szedł będę ledwo, ledwo, wśród siatek i gazet niesionych wiatrem przez betonową prerię. Noga za nogą, noga za nogą, włókł się będę, niczym potępieniec zmierzający na Sąd Ostateczny...

Mam przy sobie dwanaście zeta. Niezbyt dużo, więc chyba lepiej już teraz zastanowić się, co sobie za to zapodam - myślę, wkładając buty.

Mogę zaopatrzyć się w dziewięć najtańszych wód mineralnych i tym samym ugasić pragnienie raz a dobrze...

„Posłuchaj swego pragnienia, posłuchaj pragnienia” - mówi mi malutka widmowa butelecza Sprite'a, stojąca na moim prawym ramieniu. A ja przytakuję, uśmiechając się.

Nie wiem skąd ją tu przywiało, ale w tej chwili cieszy mnie każda dobra rada, choćby nawet udzielona przez kawał zielonego plastiku z firmową nalepką.

„Działaj z głową, działaj z głową” - radzi mi z kolei malutka widmowa paczuszka Panadolu Ekstra, stojąca na moim lewym ramieniu. I w sumie też ma sporo racji, gdyż równie dobrze mogę kupić jakiś odpowiedni środek, żebym nie czuł dłużej tego ścisku w skroniach, istnej korony cierniowej założonej na łeb... Ale jakbym kupił przeciwbóle, na napoje zostałyby już niewiele kaski!

I bądź tu mądry człowieku!

*

Wychodzę przed blok i nagle czuję, że nogi się pode mną uginają.

Z miejsca dostaję takiego haluna... Oszkurwa...

No po prostu - głowa mała!

Widzę, że sypie śnieg. A do zimy daleko. Na dodatek nie jest to zwykły śnieg, tylko taki bardziej... telewizyjny. Czarno-biały. Niczym zakłócenia lecące na nas z nieba, z każdą minutą coraz gęstsze, syczące jak kapiący kwas. A niebo z kolei... Zbawco ratuj! To przecież nie jest już żadne niebo, tylko gigantyczny ekran ciągnący się od horyzontu po horyzont, migający jak popierdzielony w jakimś stroboskopowym szale.

To musi być koniec świata - myślę, siadając na schodku przed klatką.

Nie mam sił się ruszyć. Jestem ciężki. Ważę teraz chyba z pół tony, buty mam jakby zalane betonem, niczym ofiara porachunków gangsterskich. Czuję, że idę na dno. Nie ma to tamto. Powoli opadam w otchłań, gdzie siedzą sobie zastępy czubów, wyjących do Boga i księżycy, wygrywających na swoich zdrowo nadszarpiętych strunach głosowych smutne kołysanki. Łbem centralnie przez wszystkie kręgi, bach, bach, bach, przebijając podłogi i sufity za jednym zamachem, spadając, spadając, spadając, lecę tam, nabierając rozpędu. I nie ma zmiłuj, już wali siarką, już jeziora lawy bulgoczą przyjaźnie, już rozległe plaże, gdzie zamiast piachu mamy pył sproszkowanych kości, a parasole uszyto ze skór grzeszników, zapraszają wszystkich chcących się opalić w cieniu krematoryjnych pieców, blasku atomowych grzybów...

O kacu i suchym pysku zdążyłem zapomnieć. No bo jak tu przejmować się takimi bzdurami, kiedy nadciąga Armagedon?!

Niepotrzebnie wczoraj paliłem. To wszystko przez to. Na stówę. Moje wczorajsze palenie musiało być grzechem, który przeważył szalę. Tak, na pewno. Bóg ma w Niebie zajebistą wagę, gdzie waży sobie wszystkie ludzkie grzechy. Pewnie kiedyś przyjął sobie

takie założenie, że jak uzbiera się tych grzechów miliard ton, przyjdzie pora na Sąd Ostateczny. I mój grzech przeważył. Brakowało jednego grama do Apokalipsy, a ja jak ten idiota pociągnąłem skuniora z fifki i przypieczętowałem los ludzkości. Jezus, Maria, Jezus, Maria, Jezus, Maria.

Ekran nieba miga coraz szybciej. Śnieg pada tak gęsto, że prawie nic już nie widać.

Bloki toną w zakłóceniach. Wszystko teraz wygląda, jak stare, zniszczone dekoracje, które zaraz się rozpadną w drobny mak. Ziarniste budowle ulepione z pikseli przez naćpanego informatyka, mentalnego paralytyka. Rozlecą się, rozwieją niczym dym. I wtedy wyjdzie na jaw, że to wszystko tak naprawdę nigdy nie istniało. Bo, proszę państwa, to już jest koniec filmu „Blokersi”, tu już jest koniec, nie ma już nic. Były napisy końcowe i podziękowania, jesteśmy wolni, możemy iść. Teraz wędrujemy prosto do piekła. Wszyscy bohaterowie idą czwórkami do piekła, trzymając się za ręce jak dzieci na apelu. Bez paniki! Wieczne potępienie nie ucieknie. Proszę spokojnie wchodzić na ruchome schody i zjeżdżając w dół myśleć o tym, co było w waszym życiu dobre. Bo przecież było coś dobrego, no nie?

Ludzie przechadzają się spokojnie po osiedlu, jakby nic się nie działo. Może nie wiedzą. Jeszcze nie wiedzą? Czy raczej już nie wiedzą, bo wyprało im mózgi w renomowanym proszku? Dramat. Nawet Armagedon przegapią. No bo to się dzieje na żywo, fakt, a w telewizji nie było ani słowa, nawet po wieczorynce, nawet w TVN 24.

Kurwa, ludzie! Ludziska! Pora się opamiętać! Pora się zbudzić! Pewnie to nie jest to, na co czekaliście, ale innego końca świata nie będzie. Boga nie stać na lepsze efekty specjalne, nie ma wtyków w Hollywoodzie, może nas tylko posypać tym dziwnym brokatem zakłóceń i zmienić niebo w ekran. Jak na czymś tak wielkim odbierają seriale? A mecze? Ej, czy tam u góry oglądacie mecze?! Czy aniołowie mają własną ligę, choć trochę lepszą od naszej ściskającej dupę zalem ekstraklasy?!

Prawy, lewy, złamany - przypomina mi się. Oto odpowiedź na wszystkie moje pytania. Niezrozumiały bełkot. Szum słowny. Czarna rozpacz. Biała flaga, na maszcie mojego mózgu, którą zatyka tam groźny tyran - lęk. Poddaje się. Przejebane. Amen.

- Ej, patrz, Andrzej znów zdrowo skurzony - powiedział ktoś.

Tym ktosiem okazał się być Arek.

Już wrócił ze szkoły?

Która była godzina?

- K... khtóra... Ghodzina? - spytałem. Język przykleił mi się do podniebienia.

- Dhrugha thudzieści - sparodiował mnie Kazek, ryjąc jak mysz do sera.

- Dobrze się czujesz? - zaniepokoił się Arek.

Czy dobrze? Nie. Ale ważniejsze, czy... jego troska jest szczerą. Czy jest szczerym przyjacielem? Czy jest moim przyjacielem? A może jednym z wrogów? Gdyż teraz wydaje mi się - czego wcześniej nie wiedziałem - że wokół pełno wrogów. Szpiegujących, wtykających nos w nie swoje sprawy. Hien, paparazzich. Pierdolonych obserwatorów, ludzi-kamer, rejestrujących każdy atom świata. Gapią się na mnie jakbym był chodzącym reality show. Wszędzie te ciekawskie spojrzenia. Wszędzie te...

- Prawy, lewy, złamany - szepnąłem.

Kumple lukali na mnie z niedowierzaniem.

Czy zrobiłem coś złego?

Czy zraniłem?

Czy skrzywdziłem człowieka prostego?

A moich druhów?

Dlaczego?

Jestem taki...

- Ty jesteś prawy czy lewy, Andrzej? - zażartował Kazek.

- Złamany - odparłem. - Złamanhy. Zhłamanhy. Zzzzzz... Bzzzzz.

Nie mogłem. Zebrać myśli nie. Mogłem się. Skupić.

Skupić. Upić. Udupić. Skudupupupić?

- Z nim jest coś nie tak - powiedział ktoś. - Chyba jest chory.

Chyba. Rhyba. Erha Rhyb się khończy.

Nadchodzi era Omegi. A on jest naprawdę chory...

Chory. Zmory. Zmorchy... Jestem zmorchdowany. Zamordhowahny.

Słowa są. Takie dziwne. Po co nam one?

- Andrzej, kurwa mać! Przestań już udawać idiotę! Nie chcesz wiedzieć, co było na biolcy?! Co z tobą?!

Spojrzałem na nich. Wyglądali katastrofalnie. Tacy płascy. Jakby przygniecieni czymś ciężkim. Może ekranem, niczym gigantycznym stemplem? Czemu nie widzieli śniegu, który ja widziałem? Może są pogodoodporni? Ale czemu nie słyszeli nawet szumu zakłóceń, syreniego śpiewu nieistniejących stacji telewizyjnych, wzywającego wszystkich, którzy zeglują po kanałach szukając drogi do odległego domu? Nikt im nie powiedział, nikt nie uświadomił? To wynik tego, że do szkół nie wprowadzono jeszcze „wychowania telewizyjnego”. To efekt powszechnej ignorancji w najbardziej kluczowych kwestiach.

Tacy płascy. Nic dziwnego. Idiotci! Przecież tylko ja znam prawdę. Tylko ja doznałem objawienia. Nie ma sensu tłumaczyć. I tak buce nie zrozumieją. Są tylko marionetkami. Nie

mają tego... czegoś.

Czego?

Co?

Gdzie?

Aha. Świadomości. Tak. Nie mają duszy. To tylko zabawki. Ktoś mnie uwięził wśród zabawek. W sklepie dla dzieciaków. Jedyny żywy w dolinie lalek. „Andrzej, człowiek, który został tele-zwierzem”. Wbrew swej woli. Tak bardzo jestem...

Samotny.

Żołądek podjeżdża mi do gardła niczym winda z wczorajszym żarłem.

- Whymhiotny. Whymhiotny roztwór. Thwór pana Omegi, thwór pana Adama...

- Kurwa. On zwariował. Idź po kogoś, Arek.

- Ja pierdolę... Po kogo?

- Nie wiem, ale patrz...

Zatykam usta, żeby ten kolorowy film, który w sobie mam, ta tęczowa breja wszystkiego, co kiedykolwiek wchłonąłem, nie wytrysnęła na zewnątrz, bo byłby to paw stulecia, arcydzieło arcydzieł, rozlewające się wszystkimi ulicami osiedla, zmywające przechodniów z rozbujanego pokładu chodnika.

Piekło wokół idzie już na pełny regulator.

Wysoka rozdzielczość parzy gały.

3

- Co tym razem? - spytał naczelnego.

Coraz trudniej było mu ukryć zniechęcenie. On i ta praca to było coś jak anorektyczka i pełny talerz - na samą myśl żołądek zaczynał fikać koziołki. Olkowi wciąż przypominał się refren jednej z piosenek Zdzieraczy skalpów: „Kochamy cię, a ty nas nie, więc może się... zaaaabiiiiijeeesz?!”. I naprawdę zaczynał poważnie rozważać, czy się nie zaaaabiiiiiić.

- Pewna... hmmm.. dość dziwaczna kapela.

Rednacz rzucił na biurko Olka płytkę. Na okładce widniał napis Statyści, a pod nim granatowy wir na czarnym tle. Trochę przypominało to starą płytę Nine Inch Nailsów.

- Statyści? - zdziwił się Olek. Nigdy nie słyszał o takim zespole. Jakaś nowość?

- Mało znana kapelka. Wydali tylko tę jedną, pozbawioną tytułu EP-kę. Dał mi to znajomy z branży, mówiąc, że ta grupa stanie się kiedyś polskim odpowiednikiem Toola.

Jakoś mu nie uwierzyłem.

- A co oni mają wspólnego z Toolem? Zrzynają od nich riffy? Wokalista śpiewa z

manierą Keenana?

- Nic z tych rzeczy. Chodzi tu raczej o takie... hmmm.. filozoficzne bzdety. No wiesz, podpieranie się w graniu jakimś egzotycznym przesłaniem. U Toola jest to ta cała lachrymologia, teoria płaczu, czy coś w tym typie...

- A u Statystów?

- No właśnie... cholera ich wie. Kolega opowiadał mi o tym, ale jak dla mnie był to jeden wielki bełkot. Solipsyzm, schizofrenizm, macdonaldyzm... Boże, co za kretyństwa!

Kapele mają dawać czadu, a nie mędrkować!

Jeśli mają dawać czadu tak jak Zdzieracze, to niech już lepiej odłożą wiosła i zajmą się czymś innym. Choćby i mędrkowaniem - pomyślał Olek.

Rednacz wyszedł, gwizdząc melodię jakiejś starej, beznadziejnej piosenki. W pomieszczeniu jeszcze przez długi czas unosiła się woń jego wody kolońskiej. Jak na ten zapach reagują kobiety? Odwracają się ze wstrętem, czy też udają, że im się podoba? Naczelný nie był wprawdzie żonaty, ale miał ponoć wiele kochanek - przynajmniej tak wynikało z jego opowieści, którymi zawsze ubarwiał swoje mentorskie monologi na temat popkultury. Gdyby wierzyć w te bajki, niemal każdy koncert wiązał się w wypadku szefa z nowymi podbojami miłosnymi, „pykankiem na backstage'u”, lodzikiem w kuluarach. Bardziej prawdopodobne jednak, że wieprzek po prostu lubi zmyślać, bo tak naprawdę amant z niego żaden.

Olek wziął płytkę do ręki i zaczął przyglądać się widniejącemu na okładce wirowi.

Niby nic wielkiego, a jednak wyglądało niepokojąco. Nie tak dziwacznie jak gliniane ludziki w teledyskach Toola. Nie tak szokująco jak Manson wkładający fiuta między karty Biblii. Tu chodziło o coś innego. Ulotne wrażenie, że ta prosta grafika ma nam uświadomić coś głębszego, jakąś wewnętrzną prawdę, hipnotyzującą jak muzyka grupy... Skąd w ogóle przychodziły mu do głowy takie pomysły, skoro jeszcze nawet tego nie słuchał?

Postanowił, że cedeka Statystów zapuści sobie dopiero wieczorem, w domu, na discmenie. Jeśli nie będzie to taki sam crap, jak cała reszta kapel wychwalanych przez wieprzka, może bardziej się nimi zainteresuje. Chociaż był raczej złej myśli. Sądził, że może to być kolejny pozbawiony sensu jazgot, kolejne ekstatyczne wycia i jęki udręczonego trzydziestoparolatka z klasy średniej, narzekającego na otaczający go świat.

Następny krzyk rozpaczy, podobny do poprzedniego jak jedna kałuża wymiocin do drugiej.

Zaprowadzili mnie do mojego mieszkania.

Tak jakbym sam tu nie trafił...

Matka - przerażona. Nie wie, co ze mną, czemu mnie podtrzymują, jakbym zasłabł albo właśnie miał atak serca? Co tu się wyprawia? Synek zaćpał? Zjarał się i zostały z niego tylko zgliszcza? Doszczętnie pożarł go pożar?

Po jej spojrzeniu wiedziałem, że nie ma o niczym bladego pojęcia. Ani co się dzieje ze mną, ani co się dzieje z naszą kochaną rzeczywistością. Nie zdawała sobie sprawy, że nasza mała stabilizacja rozpadła się, a teraz jej miejsce zajęła piekielna wizualizacja. I już nie wiemy, gdzie jest tamto miejsce, gdzie jest ten leepszy świat, niebo z dziecięcych laaat. Czy ktoś odpowiedź znaaa? Nie, nikt, nigdy. Oto chory film, puszczone przez Pana Szatana we własnej osobie. Usiądźcie w pierwszym rzędzie i patrzcie na to widowisko, niepodobne zaiste do wielkiego cyklu królewskich tragedii! Oto projekt naprawdę interaktywny. Cokolwiek zrobisz, zostanie zarejestrowane, nieodwołalnie i na wieki wieków, amen. Każde twoje wspomnienie będzie nagrywane, a potem umieszczą je w archiwum przy... ulicy... Uli... Tak, właśnie tam... Ale zaraz, zaraz. Co to za miejsce, czemu ma taką powaloną nazwę? Skąd o nim wiem? Czyżby jakiś poroniony narrator skrobnął mi kolejny przypis gdzieś w głębi czachy?

Matka.

Na pierwszy rzut oka nie tak płaska, bezbarwna i bezwolna jak kumple. Ale czy też nie była aby jedną z nich? Tych kukielek, które krążyły po osiedlu, laleczek, zwieszających się na sznurkach trzymanyh przez niewiadomo kogo. Pewnie jakiegoś ślepego kuglarza, smutnego klauna, pozbawionego głosu wokalistę z zespołem dałna.

To spisek. Z pewnością. Nic nie dzieje się bez przyczyny. Wszystko nagle nabiera głębszego sensu. Każda drobnostka, na którą wcześniej nie zwracałem uwagi, teraz pełna jest różnych znaczeń. Sensów, jak muchy wokół truchła.

To spisek.

Ale jaki?

O czym w ogóle ta gadka? Czy to jeszcze ja, czy ktoś mówi za mnie? Drętwiejące usta stały się bramą innego wymiaru?

Usiadłem przed telewizorem.

Koledzy poszli.

Bez słowa wyjaśnienia.

- Synku, co z tobą? - spytała mama.

Gapilem się w ekran. Telewizor był wyłączony. I słusznie. Bałbym się, że ktoś się

nam przygląda, tam, z drugiej strony. Że ktoś podsłuchuje. Na czujne oko ekranu opadła niewidzialna powieka. Może śpi? Więc ćśśś. Może drzemie? Ten nasz elektroniczny zwierzak, najlepszy przyjaciel każdego domu. Nie trzeba go wyprowadzać na spacer, nie szczą pod siebie, a ile z nim zabawy!

- Źle się poczułem i tyle - powiedziałem z trudem. Miałem sucho w pysku.

Nie dotarłem do sklepu, nie zrobiłem zakupów, nie kupiłem picia, nie napiłem się.

Wszystko: nie, nie, nie i nie. Nici z planu zaspokojenia jednej z podstawowych potrzeb. Ale nieważne. Teraz sytuacja całkowicie się zmieniła, nareszcie widzę, z czym mam do czynienia. Namierzyłem wroga. I okazało się, że jest wszędzie. Nawet w tej chwili na niego spoglądam. Pęknięcia na ścianach układają się w skomplikowaną sieć zmarszczek. Ciemne plamy są niczym sińce pod oczami. Tynk jak skóra, chropowaty, bladożółty. Staję twarzą w twarz z tą przerażającą istotą. I wtedy nagle przestaję ją dostrzegać. Momentalnie zapominam, jak wyglądała i czym tak naprawdę była.

- Jak to? Czemu wychodziłeś, skoro masz gorączkę? - pytanie matki wybija mnie z rytmu rozmyślań.

No właśnie. No właśnie, czemu? Kurwa, może rzeczywiście jestem chory. Może udawałem tak dobrze, że zachorowałem. Słyszałem o takich przypadkach, więc pewnie i mnie to spotkało. To się chyba nazywa wizualizacja. Wyobrażasz sobie coś, a potem to wydarza się naprawdę. Wierzysz w jakąś bzdurę i ta bzdura staje się rzeczywistością. Słowo obrasta ciałem, wpada między żywych, przez usta umarłych.

Nie pamiętam, co się działo. Siedziałem przed blokiem. Nadciągnęła zamieć.

Przyszli kumple. Wszystko było niewyraźne, rozedrgane. Uznali, że mi odjechało. I słusznie.

Piździło z nieba, które nie było już niebem. Zaprowadzili mnie gdzieś. Nie wiem, gdzie.

Pewnie do siebie, żebym odsapnął. Co tam się wyprawiało - nie mam pojęcia. Może pranko mózgu, może przewijanko zwojów szarych komórek? Tego się już pewnie nie dowiem.

Potem przyprowadzili mnie tu. Jak długo to trwało? Straciłem poczucie czasu...

- Poczułem się lepiej. Trochę wydobrzałem. To chciałem iść do Arka. Po notatki - ściemniam.

- Nie mogłeś poprosić, żeby on przyszedł? Wychodzić, w takie zimno, w taką pogodę? No czyż ty zwariował?! Rozchorujesz się na dobre!

Na dobre. Na dobre i na złe. Bla, bla, bla, bla. Po co ta gadka? Ciężko mi oddychać, a

ta mnie jeszcze zadręcza. Niechże się odpieprzy. Jestem padnięty. Wyczerpany. Jezu.

Dałaby sobie spokój.

Patrzę na nią. Patrzę jej w oczy. I co widzę?...

...Ona nie ma żadnych oczu. W ich miejscu tkwią dwa ślepe ekrany, a w ich połyskującej ciemnym szkłem powierzchni odbija się moja szara twarz. Moja zakazana gęba, kojarząca się w tej chwili tylko ze śniegiem zakłóceń. Niczego nie wyrażająca.

Zamazana. Rozregulowana. Na swój sposób kława. Ciekawe słowo. Kława.

Klawiatura.

Klawikord. Kordian. Jestem nowym Kordianem. Konradem. Klawo!

- P... Przykro mi... - mówię. Choć to kłamstwo. Nie jest mi przykro. To jej powinno być. Ale czemu? Nie wiem. Tak wielu rzeczy teraz nie wiem, tyle spraw pozostaje tajemnicą, tyle kwestii stanęło przede mną potworem. Na przykład skąd się wzięły te radioaktywne opady? Czy był to opóźniony skutek katastrofy w Czarnobylu? A może jakiejś innej, krachu na giełdzie papierów bezwartościowych? Ktoś powinien podsunąć mi jakąś wskazówkę, a nie tylko krzyczeć: „prawy, lewy, złamany!”.

To jakiś techno-koszmar, tele-thriller. Ludzie zrośnięci z telewizorami w jedną nierozzerwalną całość. Antenki na głowach. Wszyscy nastroszeni na ten sam pojebany kanał.

Na ten sam serial, który, który jest nowelą i nigdy, nigdy nie masz go dosyć. Ale ja go nie łąpię, nie odbieram. I co teraz? Co ze mną będzie?

Ja przez to przecież wypadłem z obiegu, odkleiłem się od tak zwanego normalnego świata. Orbita się oddala, kosmicznie szybko. Ziemia jak kropka na końcu czyjś zdania... Hmm. Skąd u mnie takie pomysły? Wcześniej ich nie miałem. Jeszcze wczoraj było ze mną najzupełniej ok, a teraz świat mój milczy cały blady od wzruszeń.

- Lepiej się połóż, słyszysz?

Zaraz się obudzę i już będzie spoczko.

Bo to tylko Bóg puszcza do mnie oczko.

Hłe, hłe. Andrzejku, śmieję się, śmieję, zobaczysz jednak, że twój śmiech urwie się jak hejnał. Przyśnił ci się koszmarek. Wszystkie dzieci mają koszmarki, a szczególnie te, co sobie lubią z lufki solidnie pociągnąć. To się często zdarza. Co drugi poradnik o wychowywaniu trudnej młodzieży porusza tę kwestię. Trzeba było więcej czytać i uważać na zajęciach. A nie tylko marzyć o przerwach, dupencjach i niebieskich migdałach.

Doły.

Chore jazdy.

Filmy wkręcane na zardzewiałą szpulę mózgu przez widmowego artystę.

Horror.

Dramat.

Psychodelia.

Nastukaliśmy się, a w międzyczasie nadeszła Apokalipsa. Przybyło Czterech Jeźdźców, rozsiewają nową medialną plagę, groźniejszą od ptasiej grypy. I teraz już nie wiemy, czy to się dzieje naprawdę, czy to się nam tylko wydaje. Czy to jest real czy jakieś sztuczne rajce. Granice zatarte, morale spada, żadna Ariadna nie wyprowadzi nas z labiryntu popełnionych błędów.

- Lepiej się połóż, słyszysz?

Dobrze, że nie mam ojca, bo teraz niechybnie dostałbym wpierdol. Za taką jazdę.

Liść na twarz i kablem w poślady. Nie będziesz mi się tu, gnojku, szlajał po osiedlu w taką pogodę! Chono tu, wypierdku! Chono, mówię! Zaraz ci Pan Pasek wszystko opowie, zaraz objaśni twojej dupce, że starszego trza słuchać. A może ja jestem z próbówki? A to, co się dzieje, to tylko próba. Sprawdzają mnie? W jakim celu? To tylko kosmiczne doświadczenie, eksperymentalny hologram planety.

- Lepiej się połóż, słyszysz? - mówi matka po raz kolejny.

Czuję.

Że zaraz.

Wybuchnę.

- Słyszę, kurwa! Co z tobą?! Zacięła ci się taśma? Zatkało kakao? No ja pierdołę!

Wrzućże na luz!

Patrzy na mnie jak na nawiedzonego. Zabiłem jej ówieka. W ciągu sekundy postarzała się kilka lat. Posiwiała. Zapadła się jak krater.

I znów mam przed sobą tę obcą twarz, straszną niczym zaciśnięta pięść. Ze zmarszczek na jej powierzchni staram się odczytać tajemniczy przekaz, układam je sobie w mapę, która pozwoli mi stąd uciec, znaleźć drogę na zewnątrz, o ile jest cokolwiek na zewnątrz, a nie tylko globalna wioska żrąca własny ogon przez wieki wieków. Ale nie udaje mi się. Stąd nie ma ucieczki.

- Nie trzeba powtarzać trzy razy. Jeszcze mnie nie pojebało! - krzyczę.

Sam się dziwię swojemu wkurwieniu.

Jakbym miał w sobie bombę, dynamit. Ładunek został wtedy odpalony, tak, ta lufka była lontem, ale nie zwróciłem na to uwagi...

- Zupełnie cię nie poznaję - odpowiada ona, cedząc każde słowo z uporem godnym lepszej sprawy. - Zupełnie cię dzisiaj nie poznaję.

Olek wrócił do domu późnym wieczorem. Mieszkał w Hucie, więc każda taka eskapada wiązała się z ryzykiem posmakowania czyjejś piąchy bądź glana. Kręciła się tu cała masa znudzonych wyrostków, którzy chętnie skroili by kogoś albo po prostu spuścili mu niezobowiązujący łomot. Agresja była dla nich jedynym lekarstwem na nudę. W takich warunkach najlepiej byłoby mieć własny samochód, którym podjeżdżałoby się pod sam blok, a potem szybkim krokiem myk do klatki schodowej, cały czas dla pewności szukając wzrokiem błysku ostrza w ciemnościach. Redakcyjnym gratem nie dają mu się rozbijać po godzinach, tylko na wywiad albo koncert i z powrotem. Droga z przystanku była zdecydowanie zbyt długa i zbyt niebezpieczna. Marzył, że kiedyś dorobi się na tyle, by kupić choćby Cieńkusia, Matiza, albo inny mały wózeczek. Na razie nie było go jednak stać na żaden. Ani tym bardziej na zmianę mieszkania na jakieś zlokalizowane w przyjemniejszej okolicy. Co wieczór wracał więc do siebie z duszą na ramieniu i żołądkiem w gardle...

Automatyczną sekretarkę sprawdził chyba tylko z przyzwyczajenia. Od dawna prawie nikt do niego nie dzwonił. Odciął się od znajomych, głównie z powodu pracy, ona zajmowała mu większość dnia i spory kawał wieczora. Gdyby chociaż robił to, co lubi, może nie czułby się zawsze tak przybity przed snem, może nie poświęcałby tyle czasu na rozmyślanie o niespełnionych nadziejach... Wprawdzie uwielbiał muzę we wszelkich jej przejawach i od dawna już chciał pisać recenzje płyt czy relacje z koncertów, ale nigdy nie zastanawiał się, jak to wygląda w praktyce. Nigdy nawet przez myśl mu nie przeszło, że trzeba będzie pisać wszystko zgodnie z „gustem” szefa, ani na krok nie wychodząc poza tak zwaną „formułę pisma”, cokolwiek to, do cholery, znaczyło.

- Brak... nowych... wiadomości... - usłyszał.

Jak wczoraj. I przedwczoraj.

Na co tak naprawdę liczył? Bądźmy szczerzy - nie chodziło przecież, by wydzwaniali tu dawni kumple czy koleżanki. Miał to gdzieś. W rzeczywistości szło tylko o nią, o Ankę. Odkąd się rozstali, nie odezwała się do niego choćby słowem, nie dała nawet znaku życia. Chciała zerwać wszelki kontakt? Na to wyglądało. Tak jakby to on, Olek, był wszystkiemu winien. A jeśliby spojrzeć z dystansu - zerwanie było jej pomysłem. Już wcześniej bywała chorobliwie zazdrosna, ale to, co się działo, gdy ich związek dotarł do rozpaczliwego końca, przekroczyło dopuszczalne granice...

- Gdzieś się wybierasz? - spytała, patrząc na niego podejrzliwie.

- Na piwo, z kolegą - odparł.

Zagadnął ją już wcześniej, czy nie chciałaby pójść z nimi, ale odparła, że nie, bo ma dużo nauki. Zrozumiał, wszak zbliżała się sesja. Anka kilka godzin dziennie spędzała z nosem w „Traktacie o zasadach ludzkiego poznania” Berkeley’ a i w innych, równie świątłych pozycjach. Niczym w transie, niezdolna do niczego poza zakuwaniem. Olek ponure czasy egzaminów i zaliczeń miał już na szczęście za sobą. Dwa lata wcześniej skończył ekonomię. Tak między nimi mówiąc chyba tylko po to, żeby mieć jakiegokolwiek wykształcenie, żeby móc dopisać sobie „mgr” przed imieniem i nazwiskiem. Ekonomia, marketing, zarządzanie, sranie w banie. Wszystko tak samo beznadziejne i nużące. I bez perspektyw na przyszłość, bo skoro co drugi Polak był po czymś podobnym, o jakiegokolwiek stanowisko było ciężiej niż o wodę na pustyni. A Olka nawet to nie interesowało. Nic go właściwie nie kręciło, może poza muzyką. Wybrał ten kierunek na chybił-trafił, zupełnie inaczej niż jego dziewczyna. Ona interesowała się filozofią już od początku liceum.

Najpierw jakieś przekrojowe książki i zbiory esejów, a później na dobre się zaczęło.

Studiowanie tego na pełen etat od dawna było jej marzeniem. Olek czasami trochę jej zazdrościł, że uczy się w zgodzie z samą sobą, nie robiąc nic na siłę, jednak starał się to skrzętnie ukrywać.

- O której planujesz wrócić?

Zupełnie jak matka dobrych dziesięć lat temu! Nie znosił czegoś takiego. Wiedział już wcześniej, że zamieszkanie razem będzie miało ten minus, że każda wada jego czy jej ujawni się nagle ze zdwojoną siłą, zaryzykował jednak, nie bez strachu o ich wspólną przyszłość. I wtedy wyszło takie szydło, że Anka bywa chorobliwie zazdrosna i nadopiekuńcza. Olek z kolei potrzebował luzu, przestrzeni, lżejszego podejścia do wielu spraw. Był jeszcze młody, do diabła, nie chciał by ten związek raz dwa przemienił się w stare dobre małżeństwo, na to przecież oboje mieli jeszcze czas.

- Zostanę gdzieś tak do północy, może dłużej. Dawno Tadka nie widziałem. Chcę się dowiedzieć, co u niego. No i w ogóle...

- Co w ogóle? Macie zamiar pić?

- Już ci mówiłem, idziemy tylko na browca.

- Tylko? Z Tadkiem?

Oho, zaczęło się wypytywanie. Nie pierwszy raz zresztą. Szkoda, że nie przykuła go do krzesła, nie zaświeciła latarką w gały i nie wykorzystwała jakiegoś narzędzia tortur, dla wyciągnięcia z niego całej prawdy i tylko prawdy. Był jednak przygotowany na kolejne

przesłuchanie. Wiedział, że musi przede wszystkim zachować spokój, bo inaczej ona nigdy nie da mu wyjść, albo znów się pokłóca, jak ostatnio.

- Tak. Z nikim innym.

Zmierzyła go wzrokiem, podejrzewając, że coś ukrywa. Starał się patrzeć jej prosto w oczy. Udawać, że wszystko jest w porządku.

Nie przejmuj się, kochana, to tylko takie kumpelskie wyjście. Z Tadkiem i... Kasią. O Kasi nie mogę ci powiedzieć, bo zrobiłabyś się tak zazdrosna jak już nieraz i jeszcze doszłoby tu do jakichś dantejskich scen. Nie zrozumiałabyś, że to tylko koleżanka z dawnych lat, nikt więcej. Nie byłabyś w stanie pojąć, że facet może spotkać się z kimś takim na stopie przyjacielskiej, po prostu, żeby pogadać o muzyce, filmach, książkach, związkach, no i całym tym majdanie, który każdy z ludzi mieszkających na tej planecie ciągnie za sobą.

- Dobra. No to idź. Miłej zabawy. Ja się tu będę uczyła jak idiotka, a ty idź i szalej.

Proszę bardzo, droga wolna, mój panie...

„Mój panie”. Kurwa, jak on tego nie cierpiał! Znów poczuł się, jakby miał przed sobą odmłodzoną wersję własnej matki. Taką, co to tylko narzeka, narzeka i użala się nad sobą. I czepia się, przede wszystkim się czepia. „Ja tu się będę uczyła jak idiotka, a ty...”. W jednej chwili odechciało mu się wszystkiego. Single nie mają takich przepraw, po prostu robią, co chcą. W takich momentach żałował, że w ogóle jest w jakimkolwiek związku.

- Słuchaj, jak masz robić problemy, to mogę zostać.

- A skądże, skądże. Jak cię nie będzie, szybciej mi to wszystko wejdzie do głowy.

Chata wolna, więc ja i książki będziemy mogli imprezować do woli - odparła.

- Ja pierdołę - szepnął, wychodząc.

Nie usłyszała go na szczęście. Gdyby stało się inaczej, byłby tu nowy Wietnam.

Zaraz zaczęłyby się uwagi na temat „języka jak spod budki z piwem” i „jego ciągłych humorów”. Ręce opadają...

- I weź klucze! - krzyknęła za nim. - Jak wrócisz, pewnie będę spała!

Poklepał się po kieszeni. Klucze już tam były.

*

Mieli pójść tylko na piwo, do pubu o dziwnej nazwie - „Hobb’s End” - na jednym kuflu się jednak nie skończyło. Ani na dwóch. Ani na trzech. Ani czterech. Bo po czwartym okazało się, że Tadek dostał ostatnio premię i trzeba to uczcić.

Po czwartym browarze nadeszły więc trzy kolejki mocnych jak cios Tysona drinów.

- Jezu, ja chyba nigdy w życiu nie byłam aż tak pijana - powtarzała raz za razem

Kasia. A jeżeli ktoś mówi coś takiego, niechybnie oznacza to, że jest naprawdę zdrowo napierdolony.

- Nigdy nie byłaś, bo zdecydowanie za mało imprezujesz - odparł Tadek. - Jakbyś trochę więcej bywała... to... to byś częściej... bywała... nawalona. Ty... A... A Olek też się tak jakoś zamknął w sobie. No popatrz na chłopaka!

Olek nie tyle zamknął się w sobie, co pogrążył się w rozmyślaniach. Naszło go na wspominki. Studenckie lata, kiedy to piło się i ćpało niemal w każdy weekend. Raz piwko, raz białko. Raz wódeczka, raz palonko. Raz winko, raz psylocybinka. To był męczący okres. Męczący, ale w sumie piękny. Czuł się wtedy naprawdę wolny, mógł robić, co chciał, iść w miasto i nie wracać do rana. Laski jakieś też wtedy były, nawet w dość dużych ilościach, ale nigdy na stałe. Kilka kacogennych one-night-standów. Parę dziewczyn, z którymi umówił się więcej niż raz. I może ze dwie, z którymi wytrzymał dłużej niż miesiąc.

Wtedy dni wypełniały mu przede wszystkim niekończące się bibki. No, trochę nauki też wtedy było, nie da się ukryć, tyle że z tego całego zakuwania nic mu do dzisiaj w pamięci nie zostało, a z imprez - wręcz przeciwnie. Nazbierał wspomnień, że ho ho. Ostatnie lata w porównaniu z tamtym okresem wydawały się jakieś takie wyblakłe. Wszystko zmieniło się odkąd skończył studia, zaczął robić w tym piśmie, odkąd... poznał Ankę.

No właśnie - odkąd poznał Ankę. Wtedy tak naprawdę przestał się szlajać po mieście, żyć rytmem ulicy. Z nią się nie dało. Była taka... kurewsko poukładana.

- Kimasz, stary?! - krzyknął Tadek.

- Taa. Od długich miesięcy - odparł.

Nie był aż tak zalany jak Kasia, ale do trzeźwości też było daleko. Lewą połowę twarzy miał już całkiem zdrętwiałą, co było chyba dobrym znakiem, bo może zaraz ten paraliż obejmie i resztę ciała, a świat w końcu odjedzie w dal, jak śmierdzący szczykami i potem wagon, pełen wszystkich tych zakochanych w swoich posiadłościach i majątkach fagasów.

Z ich trójki tylko Tadek jakoś się trzymał. Cotygodniowe tankowanie nieźle go uodporniło na wszelkie pokusy pana Morfeusza.

- O jejku, jejku. Kolegę naszło na zwierzenia. Na melancholie. No powiedz, jak ci się układa z tą twoją Anią? Widzę, że trzeba cię ciągnąć za język, bo dobrowolnie to nam chyba niczego nie wyśpiewasz.

Co ci, kurwa, do tego? - chciał rzucić w pierwszym odruchu, ale na szczęście się powstrzymał. To był przecież jego kolega. Jeden z nielicznych, odkąd urwały się kontakty z ludźmi z uczelni. Komu miałby się wygadać, jak nie jemu?

- Układa się niby nienajgorzej. Ale...

- Oj, chyba Olo się krępuje spowiadać przy pani Katarzynie. Nie mam racji? - zaśmiał się Tadek.

- Dajże mu spokój - Kasia bardziej leżała na stole, niż przy nim siedziała. Za wszelką cenę starała się jednak podtrzymać złudzenie, że uczestniczy w dyskusji.

Wyglądało to zabawnie. Jak zawsze, gdy zalany próbuje udawać trzeźwego. Jej głos brzmiał trochę, jakby mówiła przez sen. Widać było, że nie jest przyzwyczajona do stanu, w jakim się znalazła. Mimo że popić i potaćzyć chodziła równie rzadko jak Anka, było w niej coś, co strasznie się Olkowi podobało. Coś, czego jego dziewczyna nie miała - jakaś swoboda seksualna. Czasem rozmyślał na jej temat. W wyobraźni robili to na wszystkie możliwe sposoby. Wprawdzie była tylko koleżanką i Olek starał się ją traktować jak zwykłą znajomą, ale odkąd parę lat temu usłyszał od kogoś, że Kaśka „jest fajna” i lubi „te rzeczy”, zaczęła go pociągać, już zupełnie nie po koleżeńsku.

- Nie krępuję. Po prostu nie wiem, co mam ci powiedzieć, żeby nie zabrzmiało jak z telenoweli. Chociaż może ty też tak miałeś.

- Tak? Znaczy się jak?

- Że czujesz, że twoje życie jakby się ustabilizowało, ale jednocześnie zrobiło się przez to cholernie... nudne. Niby jest dobrze, ale dalej coś mi tu nie pasuje, coś mnie ciągle denerwuje i nie popuszcza.

- Coś cię w tym związku uwiera? - spytała Kaśka, tym razem brzmiąc zaskakująco trzeźwo, wręcz rześko.

- Dokładnie. Uwiera. Pieprzony kamień w bucie. Nie wiem, może do siebie nie pasujemy, a może to tylko ja mam jakieś mylne wyobrażenie o świecie.

- Ty wiesz, co ja myślę, stary? Że szukasz dziury w całym. Oglądanie pornoli zrębało ci psychę i teraz tęsknisz za rajem na Ziemi. Jenną Jameson karmiącą cię obranymi winogronami.

Carmen Electrą tańczącą na rurze od odkurzacza. Nie przesadzaj, bo jeszcze stracisz laskę, która może być całkiem przyzwoita, rokująca na wspólną przeszłość. Tako ci rzecze Tadzio.

Olek doszedł do wniosku, że Tadek rzeczywiście może mieć trochę racji. W końcu nie bez powodu był już z Anką tak długo. Z innymi nie szło wytrzymać, a z nią jakoś mu się układało. Ani dobrze, ani źle, tak... zwyczajnie. Prozaicznie. I faktycznie, gdyby nie jego ciągle narzekania na brak swobody i nieustanne porównania Anki do jego zaborczej matki, która najchętniej trzymałaby każdego domownika na smyczy, byłoby świetnie. Kurwa. Że też wcześniej tego nie dostrzegął. Trafił na miłą laseczkę, która po prostu nie była tak

popierdzielona jak on, i wolała się uczyć, a nie wciągać kreskę za kreską. To źle?

Nawijali tak jeszcze przez parę godzin, a atmosfera w lokalu robiła się coraz bardziej senna. Kłęby papierosowego unosiły się wokół stolików niczym gęsta, nikotynowa mgła.

To całe „Hobb’s End” wydawało się momentami bardzo nierzeczywiste, jakby wyjęte z planu jakiegoś filmu grozy. Szmer rozmów i regularne skrzypienie otwieranych drzwi tylko potęgowały to wrażenie. Wokół tłum ludzi, a miało się złudzenie, że nie ma nikogo. Jakby sala była pusta, a głosy zostały puszczone z taśmy.

W pewnym momencie Tadek skoczył do toalety, jak sam powiedział: „na dłużej”.

Nie wychodził z niej ponad dwadzieścia minut. Martwili się już, czy nie dostał tam zawału, bo rozmiar jego źrenic wskazywał na mocne zabielenie organizmu... I właśnie wtedy, gdy Olek siedział przy stoliku sam z Kaśką, do lokalu weszło kilka roześmianych, mocno wstawionych dziewczyn. Jedną z nich była Ewelina, bliska przyjaciółka Anki.

Zauważyła ich. Olek nie wiedział, jak się zachować. Schować się pod stół? Udawać, że jej nie widzi? Złapał maksymalnego stresu. Aż zaczęło nim telepać. W końcu powiedział jej po prostu: „Cześć”. Starał się brzmieć jak normalny, wolny, niczym nie skrupowany człowiek, który siedzi tu sobie i rozmawia z koleżanką, bo przecież tyle chyba jeszcze może, na to mu chyba pozwala pierdolona demokracja. W duchu tak naprawdę modlił się, żeby Ewela nie zinterpretowała źle całej sytuacji. Różne rzeczy mogły jej przyjść na myśl.

Potem będzie tylko „Mój panie” i „Zawiodłam się na tobie”. Masakra i ciągły ostrzał ze strony kujonki, która tak mało chce od życia, że w końcu stanie się rośliną.

Ledwie kilkadziesiąt minut później miały się sprawdzić najbardziej pesymistyczne przewidywania, najczarniejsze wizje. Ewelina wysłała do Anki sms’a: „Ty się uczysz, bidulko, a ten twój zabawia się z jakąś blondyną.”

Na domiar złego sygnał przychodzącej wiadomości wyrwał Ankę ze snu.

Zdenerwowana, dowiedziała się czegoś, czego nie powinna była się dowiedzieć. I zareagowała z typową dla siebie histerią.

- Okłamałeś mnie! - zaczęła się drzeć, gdy tylko Olek przekroczył próg ich mieszkania.

- Wssale nie - odparł. - Byłem na browcu. Zero koma pięć. Z Tadkiem. Ossso ciii chodzi?

Gdyby nie był aż tak ululany, bardziej szczegółowo obmyśliłby linię obrony.

- Ja dobrze wiem, z kim byłeś! Od dawna się z nią spotykasz?

- „Spotykasz”, zaraz „ssspotykasz” - wybełkotał. - Była z nami. Taka tam jedna.

Wprawdzie płci niewątpliwie żeńskiej, ale tylko zwyyyəyła...Koleszanka. I po

prosss-tu...

- Nawet nie próbuj się tłumaczyć! Nie kupię już kolejnej ściemy, o nie, mój panie.

Skończyły się wczasy, skończył miesiąc miodowy i twoje codzienne lanie wody!

Gdyby był w stanie, próbowałby. Ale teraz myślał tylko, że korzystnie byłoby skoknąć na wyrko i jak najszybciej zasnąć. Przejść wreszcie z pionu w poziom. Cały pokój wirował. Wszystko wokół w amoku.

- Boże, jaka ja byłam głupia! Jaka naiwna! Żeby się tak dawać zwodzić. Przez tyle miesięcy.

Nie mógł mówić, więc spróbował ją przytulić.

Wtedy ona... uderzyła go w twarz.

To zupełnie wyprowadziło Olka z równowagi.

- Csss ty odpierdalasz, histeryczko? Korba ci już wali od tej nauki?!

Zaczął masować drętwiejący policzek.

A to suka - pomyślał. - Wyobraziła sobie, że jej teorie spiskowe się sprawdziły i dała w pysk, jak jakiemuś menelowi, jakiejś chodzącej patologii. Jak się nazywa takie zagranie? Projekcja paranoidalna? Powinna nauczyć się tego słowa na pamięć, bo właśnie jej zdjęcie znajduje się przy jego definicji. Pojebana baba. No pojebana!

- Tobie odbiło! Teraz to widzę! We łbie ci się poprzewracało! Jak chcesz się spotykać z innymi, to powiedz. Może brakuje ci tego haju pierwszych randek, co? O to tutaj chodzi?!

- Słuchaj, nie wkurwiał mnie... Bo to wcale nie jest tak... Jakżeś se uroiła! Ona tylko py-py-pi-ła z nami. Piff... ko! I drinki.

- Nie umiesz łąć po pijaku.

No tak - pomyślał. - Jak ta sobie coś ubzdura, nie ma szans, żeby wyprowadzić ją z błędu. Chrystusie, ratuj! Gdybym tylko nie był aż tak najebany, ta rozmowa na pewno potoczyłaby się inaczej.

- No i co... ja ci mam powiedzieć? I tak mi nie uwierzysz.

- Masz się po prostu przyznać! Nic więcej. Dobrze wiem, że ci się znudziłam i szukasz sobie nowej baby. Tak samo powalonej jak ty. Prostej w obsłudze i wzajemnych relacjach. I najlepiej rozkładającej nogi na zawołanie. No przyznaj się wreszcie!

Nie mógł już dłużej słuchać tych pierdoł.

To było ponad jego nerwy.

- A pewnie! Masz zupełną rację! No kurwa mać. Z tobą to nie jest życie, to jest bal emerytów! Pierdolone danse macabre. Ty, kurwa, żywy trupie! Gnijąca panno młoda! Teraz są jedyne lata, żeby się wyszaleć, a nie siedzieć w domu i oglądać seriale. A ty co?... Dość

mam tego. Tej twojej zazdrości. Dość w kółko tych popierdolonych teorii spiskowych.

Dajże mi wreszcie spokój, kobieto! Odwal się ode mnie i wracaj do swojej filozofii zasranej, mędrkowania nad rozlanym mlekiem. Co jest równie nudne, jak ty...

*

Za dużo wałkowania wspomnień, a za mało dobrych dźwięków w eterze - myślał Olek, wkładając płytkę Statystów do discmana.

Spraw Panie, żeby ci faceci umieli grać! Kolejnej nędzy nie zniosę.

Zgasił światło i walnął się na kanapę. Założył słuchawki. Tak jak lubił. Zero dekoncentracji. W ciemności mocniej skupiał się na każdej nucie, był bardziej podatny na zachwyty.

Spraw Panie, żeby...

Nacisnął przycisk „Play”.

Z początku nic. Piętnaście sekund ciszy.

Potem weszła gitara akustyczna, strasznie niewyraźnie. Poczul się, jakby słuchał taśmy demo.

Po kilku akordach dołączył wokal. Niepokojący. Ale znakomity. Miał sobie coś z gniewu Cobaina i coś z brawury Buckleya. Dodatkowo dało się w nim wyczuć, że wokalista prawdopodobnie cierpi na jakąś manię czy coś w tym stylu. Śpiewał, jakby się bał, że ktoś wpadnie do studia i strzeli mu w tył głowy. Albo że pewnego ranka przyjdzie do niego dwóch tajemniczych mężczyzn, którzy powiedzą mu, że został postawiony w stan oskarżenia. Albo, że okaże się, że jego żona zacznie rodzić potwory, a wtedy świat bohatera filmu „Eraserhead” stanie się jego rzeczywistością.

W pierwszej piosence uderzała surowość i prostota. Cztery chwyt, pobrzękująca gdzieś w tle gitarka. A na pierwszym planie wokal. Ale nawet gdyby koleś zapodawał a capella, utwór byłby fenomenalny. Przedśmiertna spowiedź artysty, który przegrał swoje życie, bo w młodości postawił wszystko na złą kartę. Sam tekst był przejmujący. Mówił o samotności, odrzuceniu. I pustce, kryjącej się pod powierzchnią zmechanizowanej i wypranej z ducha cywilizacji, pod kulturą, sztuką, religią. Wydawać by się mogło, że to nie piosenka, a wyśpiewana z niesamowitą wprawą treść listu samobójcy.

Następna kompozycja była już inaczej zagrana. Produkcja jednak nadal jak na jakichś demach. Całkowite Lo-Fi. To budziło respekt, szczególnie w czasach, gdy każdy partacz wspomaga się komputerem, a wszystkie te nie umiejące śpiewać pustaki wpychają sobie do gardeł tony vocodera. Olek był już pewien, że tak będzie brzmiała cała płytka.

Żadnych sztuczek. Niech wszyscy usłyszą, jak gramy w rzeczywistości.

Rzeczywistość, no właśnie... To o niej był drugi utwór. Bas, gitara elektryczna, perkusja. Standard. A pomiędzy ich dźwięków próbował się przebić głos wokalisty, który tym razem oddawał się melodeklamacji. Po prostu opowiadał o tym, że świat to gigantyczne więzienie. Że ludzkie dusze, to tak naprawdę fragmenty, strzępy większej całości, jakby puzzle nienazwanej świadomości, która została uwięziona na Ziemi i innych planetach, a potem pozbawiona wiedzy o tym, czym jest naprawdę. Zaklęta w mięsie jak dzin w butelce, tkwiąca w materii, która jest śmiertelna, odczuwa ból, z każdym dniem coraz bardziej umiera. Bardzo pokręcony tekst, ale robił wrażenie. Do tego ten wokal, jakby piosenkarz stał właśnie pod ścianą i przemawiał do plutonu egzekucyjnego. A w tle monotonne, hipnotyczne brzmienia...

Na płycie były jeszcze trzy utwory. Wszystkie świetne. A zarazem smutne, przejmujące. Jeden brzmiał nawet jak kawałki Joy Division z czasów „Closer”. Cała ta EPka to było po prostu cudenka, istne mistrzostwo świata.

Olek stwierdził, że oto słucha najlepszego polskiego bandu od czasów co najmniej Ścianki i Lenny'ego Valentino. Dawno się tak nie zająwił. Postanowił zgromadzić jak najwięcej informacji o kolesiach. Chciał szybko pisać reckę, robić wywiad. A najbardziej marzyło mu się pójście na ich koncert. Po prostu musiał usłyszeć tych kolesi na żywo.

III. Telenova

1

Gdy Paweł odwiedził mnie tamtego popołudnia, zupełnie nie wiedziałam, co mu powiedzieć. W ogóle nie miałam pojęcia, jak się w jego obecności zachować. Trochę jak dziewczyna na pierwszej randce, ale tu powód był zupełnie inny, chory i niezrozumiały.

Chodziło o scenę, którą zobaczyłam. Scenę, która tak mocno wryła mi się w podświadomość, że będzie mnie dręczyła chyba do końca życia. To przez nią byłam taka skrępowana, wręcz zażenowana.

- Jesteś z siebie zadowolony? - spytałam w końcu. Z trudem to wydusiłam.

Zastanawiałam się, kogo powinnam winić za to, co zobaczyłam, i za każdym razem wychodziło, że wszystko przez Pawła.

Wyglądał jakby to pytanie zupełnie zbiło go z tropu. Wyparowała gdzieś ta jego irytująca pewność siebie, nieustanne cwaniakowanie. Był teraz tylko zagubionym chłopaczkiem, który nie ogarnia, co się wokół niego dzieje.

- Zadowolony? Co ty gadasz? Czemu miałbym być?

- Ty mi kazałeś oglądać ten popieprzony program! Gdybyś nie przylaź tu i go nie włączył, nigdy nie zobaczyłabym tego... tego „czegoś”!

- No ale przecież jak gadaliśmy przez telefon, mówiłaś, że już nie oglądasz.

- Bo wtedy nie oglądałam.

- To po co znów zaczęłaś?

Jezu, on niczego nie rozumiał. Słuchał w ogóle, co wcześniej mówiłam? Zdawał sobie sprawę, że każdą noc spędzam przed telewizorem, i że jak mi ustawi nowy, choćby najbardziej denny program, to będę go włączać od czasu do czasu z czystej ciekawości i chęci zabicia paru dodatkowych godzin?

Skąd się niby brała popularność wszystkich obrzydliwości pokazywanych na antenie? Właśnie z nudy widzów i z ich pragnienia zobaczenia wreszcie czegoś nowego.

Nie byłam wyjątkiem. Wolałam gapić się na ludzi, którzy nie robią nic ciekawego, niż myśleć o tym, że sama zaczynam gnić z bezczynności.

- Nie miałam nic lepszego do roboty.

- No też mi argument.

- A ty nie oglądałaś? Widzę po minie, że tak. Przyznaj, sam jesteś zażenowany.

Westchnął.

- Pewnie, jestem... - brzmiał jak uczeń podstawówki wezwany na dywanik. - Każdy by był. Ale bardziej niż zażenowany jestem wstrząśnięty i.. przede wszystkim zaciekawiony.

- Zaciekawiony? - Był aż takim perwersem, że kręciły go tego typu rzeczy? Rany, a myślałam, że go trochę znam. Czyżby Doktor Dowcipniś nocami zmieniał się w Pana Hyde'a, wężąc za ekstremalnością we wszystkich jej przejawach?

- Jasne. Chora scena chorą sceną, chuj teraz z nią i krzyżyk na drogę. Ale nie mam zielonego pojęcia, jak to zostało nagrane. Przynajmniej wiemy, że to wcale nie idzie na żywo. I że twórcy mają budżet wystarczający na spełnienie każdej zachcianki. Przecież tamten filmik - cokolwiek by o nim nie mówić - był mieszanką świetnej charakteryzacji i drogich efektów specjalnych.

- Gówna prawda - odparłam. - Żadne efekty, Paweł. To mi się wcześniej przyśniło.

Miałam identyczny koszmar i oni zdołali go w jakiś sposób nagrać, wygrzebać mi z pamięci, a potem puścić na antenie. Jezu, jak pomyślę, że mogli to zobaczyć inni mieszkańcy, po prostu mnie...

- Miejmy nadzieję, że audycja idzie tylko po lokalnej. Bo jak nie, mogli to widzieć wszyscy w mieście, albo nawet województwie. A może i w całej...

W to akurat nie wierzyłam. Program od początku wydawał mi się mocno niszowy. W

sam raz dla fanów Kafki albo wielbicieli porno-horrorów, ale nie dla przeciętnego widza, który włącza odbiornik, żeby się rozerwać, a nie zadreć.

- Ale chwila... Jak to: śniło ci się?

- Po ludzku. Uprawialiśmy seks, będąc obrzydliwymi mutantami, ludźmi-telewizorami. Myśl o mnie, co chcesz, nie czuję się odpowiedzialna za własną podświadomość. Nikt nie powinien.

Może tylko mi się zdawało, ale na moment Paweł chyba się uśmiechnął. Pewnie pomyślał, że na niego lecę, tylko dotąd starałam się to ukryć. Mogłam mu nie mówić, dalej żyłby w błędzie, myśląc, że to była robota zawodowców, a nie dzieło mojego wyczerpanego brakiem snu umysłu. Czasem lepiej trzymać język za zębami.

- Boże. To jeszcze bardziej chore. Jak oni wywlekli taką fantazję z twojej głowy?

- Nie nazywaj horroru fantazją. A jeśli koniecznie chcesz wiedzieć jak, może trzeba ich spytać.

- A niby jak zamierzać znaleźć twórców tego śmiecia?

- No, rusz mózgownicą.

Podrapał się po głowie, wzdychając. Zawsze tak robił, gdy nad czymś rozmyślał.

Wyglądało to naprawdę komicznie, kojarzyło mi się z zachowaniem bohaterów filmów klasy B, którzy uciekając przed zabójcą rozważają, czy lepiej ukryć się w lesie, nawiedzonym domu, czy może na cmentarzu.

- Iść z tym do psów? Nie jestem przekonany, czy to dobry pomysł.

Parsknęłam śmiechem. Ale wymyślił! Pan Mózgowiec od siedmiu boleści.

- Nie na policję, idioto. Oni by nas wysmiali, albo wysłali do psychiatryka. Wyobraź sobie reakcję gliniarza na moją opowieść o snach pokazywanych w telewizji. Panie władzo, tamci niedobrzy panowie naruszyli prawa autorskie, wyświetlili mój koszmar! Żądam rekompensaty!

Pawłowi wcale nie było do śmiechu.

- No to jak chcesz to załatwić?

W najprostszy sposób, kołku. Najprostsze rozwiązania są przecież zawsze najlepsze.

- Powinniśmy przejść się do dostawcy kablówki - do tej całej „Telenovy” - i wybadać sprawę. Ci goście przecież dobrze wiedzą, co puszczają. Niech się teraz tłumaczy.

- To w sumie nie jest najgorszy plan. Niebieskich faktycznie lepiej traktować jako ostateczność...

Po jego minie wciąż było widać, że nie jest przekonany. Może lepiej byłoby zapomnieć o całej sprawie i udawać, że nic się nie stało?

- Sprawdziłaś już mieszkanie? - spytał.

- Pod kątem ukrytych kamer i mikrofonów? Jasne. To było pierwsze, co zrobiłam.

Ale nic nie znalazłam.

- Ja też nie. I dlatego nie mam pojęcia, jak oni to robią. Czym nas filmują?

- Wygląda na to, że niczym. Po prostu mają nas na taśmie. Nasze sny też. Może odkryli jakąś inną, nie znaną wcześniej metodę rejestrowania.

- Ale czemu wykorzystali akurat nas?

- Wybrali na chybił trafił? Nie wiem. Może był jakiś sfazowany casting, na który nas nie zaprosili, a i tak wygraliśmy.

- Będą się panowie gęsto tłumaczyć, jak tam, kurwa, wpadnę. Nikt nie będzie bezkarnie robił tu jakiegoś cholernego „Truman show” - Westchnął i znów podrapał się po głowie. - Kiedy chcesz tam iść?

- Masz robotę dziś wieczorem?

- Nie. Do jutra klub nieczynny.

- To możemy nawet zaraz.

- A...

- Co? Znowu zły pomysł?

- Nie, nie o to chodzi. Chciałem tylko wiedzieć, czy włączałaś to jeszcze potem.

Po... no wiesz.

Korciło mnie, bo ludzie mają taką dziwną cechę, że do wszystkiego, co chore, lecą jak muchy do gnoju. Ale wzięłam na wstrzymanie. Bałam się, że zobaczę coś jeszcze bardziej makabrycznego, psychodelę nie znającą barier. Coś, czego żaden normalny człowiek nie mógłby wytrzymać.

- Nie. Masz mnie za jakąś wariatkę? - odparłam, nie pokazując po sobie choćby cienia wątpliwości w tej kwestii.

- Może powinniśmy sprawdzić.

- Po co?

- Nie jesteś ani trochę ciekawa?

- Nie, ale jak chcesz, to sobie włącz.

Chciał, bardzo chciał. Złapał się na haczyk obrzydliwości, na który różne stacje złowiły już miliony widzów. Dwustukilowe lesbijki bijące się u Jerry’ego Springera.

„Nieustraszeni” zżerający karaluchy, larwy, dżdżownice, ze spokojem żujący końskie odbyty. Zapraszany do rozmaitych talk shows „mistrz rzygania w dal”... A teraz to. Coś nowego, coś obleśnego, coś, co może wydarzyć się nawet na twoim osiedlu. Coś, co po prostu

musisz zobaczyć.

Włączył telewizor.

Na ekranie zobaczyliśmy kilkunastoletniego chłopca. Siedział na parapecie. Nogi wystawił przez okno i beztrudnie nimi wymachiwał. Sympatyczny, choć zachowywał się, jakby miał wszystko gdzieś, jakby niczym się nie przejmował. Ale widać było, że pozory mylą. Coś go gnębiło. Minę miał dosyć niewyraźną.

- Teraz znowu w drugą stronę poszli. Zamiast porno filmy dla młodzieży - stwierdził Paweł.

Nie byłabym tego taka pewna - dodałam w myślach.

Jakby w odpowiedzi na moje wątpliwości, twarz chłopca przybrała nowy, zacięty wyraz. Tak wygląda ktoś, kto nie ma nic do stracenia, ktoś zapędzony w ślepy zaułek.

Zwierzę w reflektorach samochodu, które wie, że od śmierci dzieli je ułamki sekund.

Chłopak spojrzał w niebo, a potem... skoczył.

- Boże - szepnęłam.

Zdawałam sobie sprawę, że to nie żaden film dla małych. To się działo naprawdę, gdzieś obok. A my nie mogliśmy nic poradzić. Kamera śledziła spadającego chłopaka aż do momentu, w którym roztrzaskał się o chodnik.

Potem zobaczyliśmy niehumanitarnie w swej okropności zbliżenie ciała samobójcy.

Krew wylewała się z ust, gęsta i ciemna.

Z pękniętej czaszki sączyło się coś szarego... Powoli wyciekało na płyty chodnika...

- Wyłącz to! - krzyknęłam.

Zanim Paweł zareagował, ekran zamigał parę razy. Gdy znów wskoczył normalny obraz, ujrzelśmy samych siebie. Program szedł na żywo, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Widziałam Pawła i mnie... stojących w tym pokoju... Przerażonych. To było tu i teraz. Ekran odbijał nas jak zwierciadło...

2

Stoję przed lustrem. Gapię się w odbicie, mrużąc oczy jak rewolwerowiec przed pojedynkiem. Właściwie sam już nie wiem, sam już nie jestem stuprocentowo pewien, czy to moje odbicie. Może czyjeś? Czyjeś inne. Bo i ja jestem ostatnio inny. Zostałem podmieniony. Coś wypęzło z mroków ekranu i zajęło moje miejsce, zaszyło się w mojej skórze i teraz podszywa się pode mnie. To wciąż ja, ten gówniarz, który nigdy nie zrobił nic pożytecznego? Nie, mnie przecież wcale tutaj nie ma. To już nie ja, nie ma szans. Ja tam się kończę, gdzie to się zaczyna, czymkolwiek jest i skądkolwiek przybyło. Zabrano mi osobowość, wydrenowano

do cna. To wszystko mi się tylko wydaje. Same złudzenia, same majaki na jawie. Moja dusza pochodzi przecież z bardzo daleka. Z odległych gwiazd, światów nie mających nazwy. Zostałem uwięziony w tym ciele jak w celi. Straszliwa tortura. Cella z mięsa. A kości to kraty. Nie wydostanę się. Nigdy. Musiałbym wyjść z siebie, żeby znów być sobą - tym dawnym, nieświadomym niczego, przegranym na starcie.

Idę do kuchni.

Biorę nóż z szuflady.

Dobrze. Jest dobrze. Dziś też nie musiałem iść do budy. Matka widziała, jak źle ze mną. Powiedziała, że do końca tygodnia mogę zostać. No i chuj. I tak mi się nie chciało. W ogóle ostatnio nie mam na nic ochoty. Tylko siedzieć w domu, siedzieć, siedzieć, siedzieć. I najchętniej walić łepetyną w ścianę. A przecież głową muru nie przebijesz! Rzeczywiście czuję się tu jak w więzieniu, bez prawa do odwiedzin, bez możliwości pełzania po osiedlowym spacerniaku. Ale widocznie tak trzeba.

Na zewnątrz jest niebezpiecznie. Tam skrywa się wielu wrogów, wielu szpiegów.

Oni by mnie zaraz otoczyli, obleźli jak robactwo. Zabrudziliby mnie swoimi łapami. Brudne łapska. Tylko tu, wewnątrz mojej pustelni, mogę pozostać czysty. Już widzę ich odciski na mojej białej niczym hostia skórze. Hostia to rzecz święta. Nie wolno jej dotykać. Nie wolno mnie dotykać. Nie, nie, nie, co to, to nie!

Nóż ma długie ostrze, w którym odbija się moja twarz. To dobrze. Taki właśnie mi potrzebny.

Idę z nim do łazienki.

Rozbieram się do naga.

Odbicie robi to samo. Za grosz oryginalności. Tylko małpuje. Kopiuje. To jest kopia, która szuka odpowiedniego momentu, by mnie wykończyć. Ja wiem. Ha, ha! Dobrze wiem, o co tu biega. Przejrzałem ich. To międzynarodowy, a może nawet międzyplanetarny spisek. Oni wszyscy chcą tylko mojego upadku, mojego cierpienia. Obmyślali to latami.

Całymi stuleciami zastanawiali się, jak sprawić, by Wszechświat stał się machiną, która mnie zniszczy, gigantycznym łamaczem kończyn, potężnym zegarem, w którego tryby wetknięto mój biedny czerep. Ale ze mną nie ma tak łatwo. Ja się nie dam, nie poddam. Ból mi niestraszny. Cierpienie jest do oswojenia, ta bestia przecież kiedyś straci zęby, odechce się jej wgryzania w moje kości. A przecież szpiegdy też w końcu zdechną. Całe ulice szpiegów, całe szkoły. Nauczyciele mogą dowodzić tą akcją. To prawdopodobne. Zawsze knuli przeciwko mnie. Ty się do niczego nie nadajesz, Andrzej. Ten Andrzej znowu fatalnie się zachowuje. Nie ma ojca, nie miał go kto wychować. On znów rozmawia na lekcji. Znow to,

znów tamto. Znów, znów, znów. Andrzej, oj Andrzej...

Ubranie już na podłodze, jak skóra zrzucona przez węża. Chociaż nie. Nie jestem wężem, nie jessstem tak podsssstępny, tak ośśślizgły. Pomyliłem się. To było tylko mylne wrażenie. Przepraszam. Błagam was o wybaczenie. Nie chciałem, by... Nie tu, nie teraz.

Pierwsze cięcie. W poprzek klatki piersiowej. Nieodwołalne jak filmowy klaps.

Płytkie.

Dopiero po chwili pojawiają się małe kropelki krwi. Krop. Krop. Kropelunie.

Kropeluni.

Każda kropla jak kropka.

Nad i?

Nie.

Siadam na kiblu i tnę przedramię. Tym razem głębiej.

Gdzie kryje się ta przeklęta dusza? Jak głęboko pod skórą? Jak ją stamtąd wywlec na światło dzienne? Trzeba ją uwolnić, pozwolić jej wrócić tam, skąd przybyła.

Krew skapuje na podłogę. Czerwone plamy na kafelkach. Czerwone smugi na białej skórze.

Jestem teraz biało-czerwony. To zabawne, nie pozbawione swojego uroku. Teraz ja.

Teraz Polska. Jestem oryginalnym produktem wysokiej jakości. Sam siebie takim nie stworzyłem. Jestem dziełem przypadku, splotu dziwnych okoliczności. Mój ojciec nie był ostrożny, a pewnie był złośliwy, a może tylko nie wiedział. Moja matka była wtedy zamroczone, a potem było jej żal. I teraz ja czuję ten żal, który niczym pętla zaciska mi się na szyi. Pętla, zapętląć, rozwiązywać, zszywać... Rozpętląć kolejne zagadki świata.

Rozwiązać kaptur kata... I zobaczyć pod spodem jego szklaną twarz.

Słowa są takie dziwne.

Po co nam one?

Tnę głębiej.

- Jezus, Maria! - krzyczy ktoś.

- Ćśśś - mówię. - Potrzebuję ciszy. Dźwięki nie są tu mile widziane. Niech wyjdą, niech czekają na swoją kolej...

Lukam za siebie.

Co się dzieje?

To matka. Stoi w progu łazienki. Dłoń przy ustach.

Pomnik zaskoczenia...

A przecież miała wrócić później.

*

Była awantura.

Był lament.

Było odsądzanie od czci i wiary.

Bo matce ciężko coś przegadać. Nie idzie jej wytłumaczyć, że tnę, bo chcę zobaczyć, co jest pod spodem, pod skórą. No kurwa. W końcu to moje ciało, moja powłoka, moja prywatna własność. Stara pytała, czy zwariowałem. Otóż nie. To ona zwariowała, to ona rozwiodła się z ojcem, to ona sprawiła, że moi kumple dostają regularny wpierdol i po każdej wywiadówce drżą ze strachu, a ja mam takie luzy, że aż słabo się robi. A co do tych cięć... Po prostu robię eksperymenty, nie widać? Jak każdy młody i zdolny naukowiec.

Choć może niezupełnie zdolny, w końcu jestem słaby z wszystkiego, co się w tym biznesie liczy, z fizyki, biolocy, chemii, no ja cież pieprzę. Ale siebie mogę badać. Przynajmniej tyle.

Nie ma bata. Mogę analizować. Policzyć ostrzem żebra. Porozcinać żyły. Patrzyć jak skóra zwija się, gdy już dotknie jej chłodny metal, gdy już...

- Byłam dziś u twoich kolegów - mówi.

- Tak? No to fajnie. Mili chłopcy, nie? Zajebicie mili.

- Nie przeklinaj, proszę cię.

- Dobra, dobra. Nauczyłem się tego słowa na koncercie Ich Troje. Zaj... Ok, już nie będę.

- Rozmawiałam z nimi o tobie. Oni też się niepokoją. Ostatnio nikt cię nie poznaje.

Nawet znajomi. Bardzo się zmieniłeś.

- Ej, mamuśka, mamuśka. Ja też siebie nie poznaję. Taki jakiś obcy się zrobiłem, niczym dosłownie Alien. „Sam, jak palec, co dobrze nie wróży. Obcy jak ósmy pasażer podróży...”

- Przestań. Posłuchaj mnie.

Jest trochę zbyt poważna. Jak na pogrzebie. Dobra, niech gada. Wyżali się, to jej przejdzie. Pewne słowa muszą paść, to jak odstrzał szkodników, sezonowa akcja. Może faktycznie moje rozcinanie własnej powłoki było dla matki zbyt szokujące? Muszę pamiętać, że ona jest jedną z tych, no, normalnych. Nic nie wie o otaczającym ją świecie, mało tego - nie chce wiedzieć. Dla niej tylko - praca, zakupy, „M jak miłość” albo „Na dobre i na złe” po południu. Muszę postarać się zrozumieć człowieka prostego, który nie widzi zła, nie słyszy zła i o nim nie rozmawia. Muszę zrozumieć człowieka ślepego, głuche i niemego. Który tak

długo siedział przed telewizorem, kompem czy czymkolwiek, aż mózg skurczył mu się do rozmiarów fistaszka. I muszę się z nim porozumieć. Przekazać mu swój sygnał S.O.S. Nadać wiadomość tekstową, że ktoś nas tutaj robi w chuja.

- Ci twoi koledzy... Oni mi wszystko powiedzieli. O tych narkotykach.

- O narkotykach? Jakich narkotykach? - zdziwiłem się. Jak świat światem nigdy nie miałem nic wspólnego z narkotykami. Tyle co z mercedesami. No chyba że mówimy o miękkich - to co innego, to żaden problem, żaden Monar nie jest potrzebny, żadne interwencje i gorzkie żale. Ten temat, przyznaję, trochę mnie wessał. Bo co wchodzi w łufkę, to wchodzi w główkę, ach lekko, ach łatwo, niczym kredka w temperówkę! Hłe, hłe, hłe.

- Przyznali się, że często palą marihuanę. I że ty palisz z nimi.

- Co? Co to znaczy: często? I odkąd to trawę uważa się za narkotyk? Nie no, to już jest, kurwa, przegięcie.

- Nie klnij. Ostatni raz cię proszę. Od paru dni przeklinasz coraz więcej.

- Dobra, sorry...

- Tu już nie chodzi nawet o to, co wy robicie. To najmniejszy problem. Chodzi o ciebie. Coś się z tobą stało. Dziwnie się zachowujesz. No i ta próba samobójcza. Nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć.

- Zaraz, zaraz! Jaka znowu próba samobójcza?

- Nie udawaj. Co robiłeś dziś rano z tym nożem?

- To? To nie była żadna próba. Po prostu chciałem sprawdzić, jak się skóra ładnie rozstępuje, gdy ją odpowiednio potraktować. He, he. No i ciekawy byłem, czy krew jest taka czerwona jak na filmach. Ale okazało się, że jest nawet bardziej czerwona. He, he, he.

- Przestań się tak idiotycznie śmiać. Co z tobą? W tym naprawdę nie ma nic śmiesznego. Targnąłeś się na swoje życie, a ja zupełnie nie wiem, co cię do tego popchnęło.

Ale z niej ponuraczka. Targnąłeś się na życie, to, tamto, owamto. Jejku. Zmieniła się.

A zrzuca winę na mnie. Że to niby ja się zmieniłem. No i przegadaj tu takiej. Ubzdura sobie coś i amen. Cały świat zrobił się nagle taki jakiś. Nie do poznania. Wczoraj biały, biały welon, jutro białe, białe włosy. A ja już mam tego serdecznie dosyć. A teraz jeszcze kłopot ze starą. Co z nią? Może jest chora? Może ma doły? Snuje te swoje teorie spiskowe jak pajęczycyca snująca nudną nić, bo nic lepszego nie ma do roboty. Aż wyć się chce.

- Umówiłam ci wizytę na jutro. Zobaczymy, co powie lekarz.

- Jaki lekarz? Co jest grane?

Nagle poczułem się, jakbym był otoczony przez wielką bańkę, która tamuje wszelkie bodźce docierające z otoczenia. Jak jedna z tych zabawek. No wiecie. Potrząśnij kulą i

zobacz, jaka się zrobi zamieć. Matka teraz trzęsła kulą. Nadciągała burza śnieżna, prawdziwa zamieć. A ja byłem tu sam, niezrozumiany, nagi. Zimno mi było. Czuję się nagi, naprawdę. Obrany ze skóry do gołych nerwów. Choć czemu? Przecież miałem ubranie. Lecz w zupełnie innym sensie byłem.. odarty... Moje wywleczone na zewnątrz włókna nerwowe czuły wszystko ze zdwojoną siłą. Tak wrażliwy na wszystko nie byłem jeszcze nigdy. Zbierało mi się na płacz. Broda drżała.

- Zapisałam cię na wizytę u psychiatry.

Zamieć właśnie się zaczęła. Na dobre. Śnieg zakłóceń. Wyładowania elektryczne.

Zgaszony ekran nieba.

A ja zaraz eksploduję.

Bo jestem supernową. Jestem reakcją łańcuchową.

- Co?! Czy ty mnie masz za jakiegoś pojeba?!

Wstałem.

Nie wiedziałem gdzie iść, więc usiadłem.

Cieężko mi było oddychać.

Co jak co, ale tego się nie spodziewałem. Wszystkiego, ale nie tego. Żeby własna matka...

- Uspokój się. Nikt cię nie uważa za wariata.

- Nie? To po co ten lekarz?

Zacząłem drapać się po twarzy. Przeszkadzała mi, jak zbyt ciasna, gumowa maska.

Marzyłem, by zdjąć z siebie to niewygodne gównno. Bez niej byłoby o wiele lepiej.

Przypomniała mi się nagle pewna piękna piosenka. W myślach zacząłem nucić: „I had seven faces...Thought I knew which one to wear...”. Nie przestawałem się drapać. Ta piosenka szła kiedyś w radiu. Wtedy myślałem, że wiem, w czym rzecz. Teraz zrozumiałem, że to był jeden z ukrytych przekazów. Życie aż roi się od takich znaków, wystarczy się wsłuchać, wpatrzeć.

- W tych czasach wielu młodych ludzi ma problemy i... i nieraz muszą się z tym zwrócić do psychologów albo psychiatrów.

- Ja nie mam żadnych problemów - powiedziałem.

Było mi duszno. Bańka wokół kurczyła się. Wkrótce mnie zmiażdży. Już jest tak mała jak hełm astronauty. Malutka, maluteńka. Jestem zwykłym astronautą, tu, na tej obcej planecie. Mały kroczek dla człowieka, ale wielki dla ludzkości. Lecz czy to na pewno był krok w dobrą stronę? Bo czuję bardziej, jakby się oddalał, a nie przybliżał do jakiegokolwiek celu.

- To nie jest nic dziwnego, że ma się wizytę u specjalisty. Czasami potrzebna jest pomoc takiego człowieka. On cię wysłucha i...

- To ty masz problem! Ze sobą! To ty jesteś chora! Nie ja. Słyszysz? Ja jestem całkowicie zdrowy! Zdrooowyyy!

Zacząłem krążyć po pokoju wykrzykując słowa, które miały potwierdzić, że tak naprawdę wszystko ze mną ok, że nie ma się o co martwić.

- Proszę cię, nie podnoś głosu. Możemy chyba porozmawiać jak normalni ludzie.

- Pewnie. Jestem normalny - powiedziałem najciszej, jak tylko się dało, żeby w ten sposób potwierdzić swoją normalność.

A więc jednak spisek. Przeczuwałem to. Chcą mnie zrobić. Chcą mnie wsadzić do czubków. No jasne. Tam nie będę im zagrażał. Będą mogli bez żadnych przeszkód czynić dalej to swoje zło. Żlić się. Złorzeczyć. Niszczyć świat. Ogryzać kości biednego Stwórcy.

Aż do szpiku światłości...

I matka również będzie w tym uczestniczyć. Bo ona jednak też jest w to zamieszana.

No tak. O tym nikt mnie wcześniej nie poinformował. Choć w nocy Bóg mówił, że mogą być problemy, powikłania. Powikłania. Dziwne słowo. Powikłać. Wikłać się. To chyba znaczy zaplątać się w coś. Zaplatałem się, fakt. W świat, w ludzi. Jak w gąszcz. Brodzę w tym po pas, niczym w szambie. Bóg mówił, że to on jest moim prawdziwym ojcem i to wcale nie jest tak, że mnie opuścił, porzucił naszą rodzinę. Cały czas nad nami czuwał. Miał na nas oko. A teraz chciał prosić o pomoc. Opowiedział, że ludzie zostali omamieni przez Szatana. O tym wiedziałem już wcześniej. Myślałem jednak, że nie będę musiał w tym całym Piekło uczestniczyć. Niech to się kręci beze mnie, ten interes, ten diabelski młyn. Ale niestety. Bóg mówił, że tylko ja mogę uratować ludzkość, bo tylko ja znam fakty.

Zaprawdę, Andrzejku, kto nie stąpał po ziemi ni razu, ten nigdy nie może być w Niebie.

Zstąp więc. Niech zstąpi duch twój i odnowi oblicze Ziemi. Tej Ziemi. Nie możesz odcinać się od świata. Musisz wrócić z wygnania. Przez podziemne labirynty, mgliste telewizyjne kanały, surfując na radiowych falach. Powrócić na łono swego miasta. Do tych bram malowanych rzygiem rozmaitem, wyzłacanych szczyną skapującą z pyty. Do tych bloków smutnych jak pizda o świcie, gdy się przekonała, jak nudne ma życie...

Marzyciel z ciebie, Andrzejku. Wydawało ci się, że skryjesz się przed Apokalipsą we własnym mieszkanku, w celi czterech ścian, zagrzebiesz w tym mięsie, tych kościach i nikt cię nie wykopie. Ale nie. Nie ma tak łatwo. Musisz ich uratować. Tych, których się da. Ty jeden możesz. Musisz. Ty jeden jesteś w stanie. Sam. Samotna misja. Tu cię powołał pan.

Zaprawdę. Powołał cię pan na bunt. Klęska. Armagedon. Szatan. Zmartwychwstanie.

Ty.

Ty jeden.

Szum uderza we mnie jak spieniona fala.

*

Trochę się denerwowałem, siedząc w tej dusznej poczekalni. Przed wizytą. U psychiatry. Matka kazała. Bez ociągania. Bez ściemy. Idziesz i już. Widziałem, że jej nie przegadam. Ale doszedłem do wniosku, że może wynikną z tego wszystkiego jakieś plusy dla mnie. Bo mogą mnie na przykład zwolnić z zajęć szkolnych na dłuższy czas.

Jeśli się oczywiście okaże, że jestem świrem. A z tym może być ciężko, bo nie jestem.

No ale cóż. Bóg mówił, że muszę być silny. On ostatnio w ogóle dużo gada. Jak milczał, to był cicho przez tyle lat, a jak już rozkręcił nawijkę, to dosłownie nie przestaje. Sporo się od Niego dowiedziałem. Naprawdę ciekawe rzeczy, o których nie uczą w żadnej szkole, ani tym bardziej na katechezach. Naprawdę ciekawe rzeczy. Chcecie posłuchać?

Nie chcecie?

Obojętne. Bo teraz nie pora na moje rzewne opowieści. Siedzę w poczekalni, całkiem sam. Za oknem kamienice, popękane jak płyty nagrobne. Zachmurzone niebo, ciemna pokrywa z ołowiu. Nadchodzi burza. A deszcz robi ze świata olbrzymi kryminał. Wyrok zapadł, moja kara nigdy nie minie.

Pocę się. Najchętniej bym uciekł, ale to niczego nie zmieni. I tak prędzej czy później tu wrócę.

Na stoliku sterta gazet.

Chcę się trochę odstresować, więc zaczynam przeglądać pierwszą z brzegu. Mam nadzieje, że nie o żadnych chorobach...

...Nie, na szczęście nie. „Miesięcznik kulturalny”. Pewnie same nudy. No ale nic.

Przejrzeć nie zaszkodzi.

Są tam prawie same recenzje książek i filmów. Jakieś wywiady z artystami. Dopiero gdzieś na dwudziestej którejś stronie znajduję ciekawie wyglądający rysunek. Ilustrację do króciutkiego opowiadania zatytułowanego „Kopia”. Grafika przedstawia kilka zabawnych ludzików zrosniętych dłońmi i stopami niczym bliźnięta syjamskie. Zaraz przypominają mi się wycinanki, jakie robiliśmy w pierwszej podstawówce. To było coś podobnego. Zaczynam czytać.

*

„Od dziecka bałem się luster. Wierzyłem, że historia Alicji nie jest tylko i wyłącznie czymś wymyślem. Wyobrażałem sobie, że po drugiej stronie istnieje rzeczywistość, która stanowi bliźniacze odbicie naszej. Jednak jest to zła bliźniaczka. Wszystko dzieje się tam zupełnie inaczej niż tu. Serca biją z prawej strony. Lewica wygrała ostatnie wybory. W dzień się śpi, a w nocy pracuje. No i na dodatek tamci ludzie na pewno są z natury zli. Bo jeśli nasz świat jest dziełem Boga, to tamten musi być...

- Aleś ty dziecinny - powtarzała moja dziewczyna, Ewa, gdy tylko zaczynałem opowiadać o moich lękach. - Żadna kobieta nie uwierzy w te twoje historie... A wiesz czemu?

- Nie.

- Bo my pół życia spędzamy przed lustrem. Pół życia spędzamy gapiąc się w naszą... hi, hi, hi... mroczną połówę.

Wzdychałem tylko, dając jej do zrozumienia, że problem jest znacznie głębszy, niż się to może wydawać. Miałem solidne podstawy dla mojej osobliwej teorii. Mogłem przedstawić wiele dowodów.

W wieczór moich piątych urodzin po raz pierwszy zetknąłem się z dziwnym zachowaniem lustrzanego odbicia. Stało się to o godzinie 20.02, pamiętam jakby to było wczoraj. Wcześniej mama kazała mi umyć zęby po jedzeniu tortu. Z ociąganiem poszedłem do łazienki. Nie lubię myć zębów wieczorami, szczególnie wtedy mi to nie pasowało, bo przecież przez cały dzień wszystko szło po mojej myśli, a tu nagle taki niefart. No ale trudno. Z nietęgą miną zabrałem się do nakładania pasty na szczoteczkę. W pewnym momencie dostrzegłem, że moje odbicie wcale nie robi tego samego. Drugie ja gapiło się na mnie z szyderczym uśmiechem, a potem wykonało gest podrzynania sobie gardła.

Przestraszyłem się nie na żarty. Pobiegłem z płaczem do mamy. Opowiedziałem jej, co się stało. Zamiast mnie pocieszyć, zaczęła się śmiać. Mój Boże...

Pewnego dnia Ewa postanowiła użyć podstępu, by zwalczyć mój lęk przed lustrami.

Zamknęła mnie w łazience. Na klucz. I powiedziała, że mnie nie wypuści, dopóki ja i moje odbicie nie zaprzyjaźnimy się ze sobą.

- To nie jest zabawne! - krzychałem. - Nie powinnaś mi robić takich żartów!

- Kochanie, uspokój się. Twój lęk jest zupełnie... jakby to powiedzieć... irracjonalny. Posiedzisz tam trochę, to ci wreszcie przejdzie.

Patrzyłem w lustro, zaciskając pięści.

Może nie różnimy się aż tak bardzo - próbowałem sobie wmówić, gapiąc się na moje drugie ja. - Ty masz pieprzyk na lewym policzku, ja na prawym. Ty pewnie głosowałeś na Tuska, ja na Kaczyńskiego. Może jednak, mimo tych różnic, nie jesteśmy kompletnymi

przeciwieństwami...

Ewa wypuściła mnie po jakimś kwadransie. Byłem zupełnie spokojny i zrelaksowany. Wszystko ułożyło się zgodnie z planem. Po tylu latach... Kto by pomyślał.

- Dogadaliście się, prawda kotku? - spytała z uśmiechem.

- Tak, Ewunciu. Miałaś całkowitą rację. Potrzebowaliśmy po prostu trochę czasu na osobności.

- Ewunciu? Nigdy mnie tak nie nazywałaś - odparła, unosząc brwi ze zdziwienia.

Nie miała o niczym pojęcia. Nie spostrzegła, że teraz mam pieprzyk na lewym policzku. Nie domyśliła się, co tak naprawdę stało się przed chwilą tam, w łazience.

- Od dzisiaj będę się do ciebie zwracał tylko w ten sposób - powiedziałem. - A teraz pozwól, że coś ci pokażę - dodałem, prowadząc ją w kierunku łazienki...

- To się wam nie uda! - krzyczały nasze odbicia. - W końcu się stąd wydostaniemy!

- Nie wydostaniecie się - rzekłem, nie tracąc opanowania. - Już dawno wiedziałem, co będę musiał zrobić, gdy ja i moja Ewuncia wreszcie będziemy wolni, kiedy już was zastąpimy. Od teraz to my będziemy żyli na tym świecie, wy zaś będziecie tkwić w tamtej koszarnej rzeczywistości. A żeby być pewnym, że już stamtąd nie wyjdziecie... odetnę wam drogę powrotną.

Z całej siły walnąłem pięścią w lustro. Rozbiło się w drobny mak. Gdy kawałki szkła spadały na podłogę, wciąż słychać było echo wrzasku Adama i Ewy. To był ostatni dźwięk, jaki ich gardła zdołały z siebie wydobyć.

Kiedy było po wszystkim, powiedziałem do Ewunci: - Teraz musimy tylko uwolnić resztę...

Przytaknęła, chichocząc.

Rewolucja się zaczęła, wszystko było już tylko kwestią czasu.

Mieliśmy tysiące kopii do wyzwolenia, tysiące luster do rozbicia”.

*

Kończyłem czytać ostatnie zdanie, gdy do poczekalni weszła przeraźliwie blada kobieta.

Pomyślałem, że niezdrowa cera i podkrążone oczy to od pewnego czasu taki stygmat nas wszystkich, jakby całe miasto zdychało na tę samą, nieznaną chorobę, jakby wszyscy mieszkańcy przeżywali wspólną agonię. Ale ta babka była nawet bardziej blada niż ja w dzień po ostatnim palonku. Ze strachu aż podskoczyłem. Wyglądała fatalnie, jakby uciekła z planu filmu grozy i nie zdążyła zmyć make up’u. Jej skóra miała zielonkawy odcień i mógłbym

przysiąc, że prześwitywało spod niej coś jeszcze, niczym spod przezroczystej maski... Czyjaś inna twarz, twarz jakiegoś cholernego emeryta. Po chwili to wrażenie na szczęście minęło.

Znów miałem przed sobą zwyczajne ludzkie oblicze, które niczego za sobą nie kryło.

Uspokoilo mnie to. Wtedy zauważyłem też, że kobieta była ubrana w szary sweter, miała nieuczesane włosy i ogólnie wyglądała na sponiewieraną. Doszedłem do wniosku, że to jedna z pacjentek, zapewne cierpiąca na jakieś wyjątkowe ciężkie schorzenie.

Nagle spytała mnie:

- Ty jesteś Andrzej Karłowicz?

Skąd mogła wiedzieć? Przecież nie miałem tego wypisanego na czole.

- Tak, to ja - odparłem.

- Proszę za mną. Pacjentów przyjmuję w gabinecie obok.

3

Anka i Paweł dotarli do siedziby dostawcy kablówki późnym popołudniem.

Zaczynało się już ściemniać. W mieście robiło się coraz bardziej nieprzyjemnie - im bliżej nocy, tym gorzej. Mało kto decydował się na wychodzenie z domu po zmroku. Była to przecież pora, gdy w TV szły najlepsze seriale i najciekawsze programy informacyjne.

Ulice niemal się wyludniły, nieliczni przechodnie snuli się tu i tam niczym widma. Ponure twarze zroszone mżawką, oczy przekrwione, rozbiegane, jakby szukające ekranu, na którym mogłyby zawiesić wzrok. Kolejna bezbarwna dzielnica w samym sercu szarej jak psi sen metropolii. Kamienice umierały jedna po drugiej, ludzie od jakiegoś czasu znikali, na słupach i latarniach wisiały zdjęcia zaginionych. Nikt nie wiedział, co się z nimi działo.

Uciekali gdzieś, zmieniali się w parę, w dym? Ktoś ich stąd wywoził, a może po prostu w wielu mieszkaniach załęgły się czarne dziury, wciągając w siebie wszystkich domowników?

W okolicy od miesięcy nie tętniło już życie, podskórny puls przestał być wyczuwalny. To był zapomniany przez Boga rejon. Tu rządził Pan Morfeusz. Wszyscy chcieli kupić marzenia, które sprzedawał w swoich pakietach, za niewygórowaną cenę abonamentu...

Wypisane sprayem tytuły rozmaitych filmów piętrzyły się na ścianach starych kamienic, wprowadzając nieco dodatkowych kolorów w monochromatyczną paletę otoczenia. Zielony neon z napisem „Telenova”, wiszący nad wejściem do pomieszczeń biurowych, migał jak odległa gwiazda.

Już po drodze ustalili, że na starcie nie wspomną nic o pornograficzno-koszmarnej scenie, którą mieli nieprzyjemność oglądać. Chcieli spokojnie zapytać o program nadający

relację z ich osiedla, nic więcej, przynajmniej dopóki nie dowiedzą się, o co w tym wszystkim biega. Gdyby pracownicy firmy przyznali się do nadawania takiej audycji, wtedy można pociągnąć ich za języki. Ale jeśli by zaprzeczyli...

- Kto będzie mówił? Może ty? - spytał Paweł, gdy szli słabo oświetlonym korytarzem w kierunku najbliższych drzwi, na których wisiała tabliczka z nazwiskami pracowników, dwoma zaledwie.

Z nim to jak z dzieckiem - pomyślała Anka. - Dosłownie jak z małym dzieckiem.

Takie samo pytanie usłyszałam przecież w czwartej klasie podstawówki, kiedy ja i kolega zbiliśmy szybę i zmieraliśmy do gabinetu dyrektora, chcąc się wytłumaczyć. Mężczyźni się nie zmieniają. Robią się tylko wyżsi i grubszy, rośnie im zarost i zasób przekleństw, których używają. Nic więcej.

- Niech będzie. Przywykłam już, że faceci w kluczowych momentach zapominają języka w gębie.

Spojrzał na nią spode łba, jakby samym wzrokiem chciał ją ukarać, może nawet zabić. Odkąd był świadkiem tamtej pamiętnej sceny, odeszła mu ochota na podrywanie Anki. Szczerze mówiąc - odeszła mu ochota na podrywanie kogokolwiek, przynajmniej teraz. Odrażający program wszystko mu obrzydził, obrócił w gruzy cały „związek”, od tygodni przeżywany w myślach, całą ich wspólną „przyszłość”, która kiedyś była dla niego jak światełko w tunelu, a obecnie wydawała się czymś równie absurdalnym co kabaretowy skecz. On i ona znów mogli być tylko znajomymi, bez śladów chemii z którejkolwiek strony. Co rusz wydawało mu się przecież, że ma przed sobą skomplikowaną maszynę, którą ktoś dla niepoznaki oblekł w skórę kobiety. Przeróżające, w jak nieodpowiednich chwilach podświadomość podsuwa nam obrazy, które za wszelką cenę chcielibyśmy wyprzeć z pamięci.

Weszli do biura.

Wielki szyld reklamowy, który wisiał na zewnątrz, mógł niejednego zwieść, jednak „Telenova” wcale nie była dużą firmą. Jeżeli ich cała siedziba to był ten jeden pokój z dwoma biurkami stojącymi przy przeciwległych ścianach, należało im tylko współczuć.

Kondolencje należało chyba też złożyć abonentom, wszak żywot tego typu przedsiębiorstw - a namnożyło się ich ostatnio bez liku - w większości przypadków trwał tyle, co życie jętki.

Przy biurku z prawej gruba kobieta w okularach o szklach przywodzących na myśl dna słoików z zapamiętaniem układała komputerowego pasjansa. Nawet nie zauważyła, że weszli. Drugie biurko zajmował chudy jak mumia elegancik. Jego drogi garnitur kontrastował

z surowym wystrojem wnętrza, które raczej kojarzyło się salką wiejskiej szkoły: to, drogie dzieci, jest komputer, ale uważajcie, uważajcie, bo są na wyposażeniu tylko dwa, niczego nie zepsujcie, bo to zabytkowy sprzęt, prawie tak stary, jak pcv, które mamy na podłodze. Elegancik był wyjęty z zupełnie innej bajki, przypominał senne widziadło wspomaganego amfetaminą maklera.

Podeszli do kobiety, wydawała się mniej... oficjalna. Niestety, tylko na pierwszy rzut oka.

- O co chodzi? - spytała tonem, który znacznie bardziej pasowałby do słów: „No już, spierdalać mi stąd”. Żadnego „Witam!”, żadnego „W czym mogę służyć?”. Kursu dobrych manier na pewno nie zaliczyła. A przydałby się, bardzo by się przydał.

- Dzień dobry - powiedziała Anka, starając się brzmieć uprzejmie, mimo że baba zdążyła już wytrącić ją z równowagi. - My w sprawie takiego... hmmm.. dość dziwnego programu... który ostatnio...

- To proszę do pana przyjmującego reklamacje.

- Cóż, my...

- Jak coś jest nie w porządku, proszę iść do pana od reklamacji i nie zawracać mi głowy. Ja tu mam jeszcze masę roboty i nie mogę się wami zająć. Przykro mi. Do widzenia.

Ance zaraz przypomniały się wszystkie te sytuacje na uniwersytecie, gdy musiała załatwić jakieś sprawy w dziekanacie. Tamtejsze sekretarki były równie uczynne, co ten babsztyl tutaj. Może wszystkie gnidy tego świata były jakoś spokrewnione? Może to jedna wielka rodzina? Wiązała je razem podwójna helisa ich szczerzego genomu? Bardzo prawdopodobne.

Paweł szepnął tylko: „No to chomy”. Miał wzrok zwierzęcia, na którego łapach przed momentem zacisnęły się wnyki. Charakter kwalifikował go może do bycia bezrobotnym Don Kichotem wojującym z telewizorami, ale na pewno nie do pracy bramkarza w nocnym klubie. Zupełnie nie wiedział, co robić w kryzysowych sytuacjach.

Dało się wyczuć, że najchętniej sięgnąłby teraz po piwo i papierosa, żeby choć trochę się uspokoić. Anka była ciekawa, jak on sobie radzi z tymi wszystkimi wstawionymi, nastukanymi lub po prostu rozwścieczonymi gośćmi, próbującymi zabłysnąć na imprezach, tymi, którzy każdego napotkanego człowieka witają słowami „Co się, kurwa, gapisz?”.

Paweł był albo jajcarzem o niewyparzonym języku albo zranioną łanią, jak teraz. Nie wierzyła, że potrafi dać komuś w mordę, gdy zajdzie potrzeba, i raczej wątpiła w jego przyszłość w obecnym fachu. Pracował tam dopiero od miesiąca, a był to już chyba jego dziesiąty zawód odkąd skończył liceum. Nie chciało mu się wybrać na studia, więc błąkał się

to tu to tam, nie mogąc wybrać, z czego chce się utrzymywać, co tak naprawdę planuje w życiu robić. Źle mu było i w McDonalddie, i na stacji benzynowej, i w spożywcza, i nawet na giełdzie komputerowej. Nigdzie nie zagrzał miejsca na dłużej niż kwartał.

Nazywanie go człowiekiem niezdecydowanym byłoby stanowczo zbyt łagodne. To był niezorientowany w świecie gówniarz, nikt więcej.

Zniechęceni podeszli do drugiego biurka. Kościsty jegomość wbił w nich swoje przepełnione bólem istnienia spojrzenie.

- W czym mogę państwu pomóc? - spytał tak cicho, że nie dało się jednoznacznie stwierdzić, czy w pomieszczeniu zabrzmiał ludzki głos, czy był to tylko jednostajny pomruk komputerowych wiatraków.

- Jak mówiłam, chodzi o jeden z programów - odparła Anka, tym razem przygotowana na to, by nie dać się łatwo zbyć.

- Tak? - zdziwił się tamten. Z plakietki wpiętej w kieszeń jego marynarki można było odczytać, że nazywa się Maciek. - Proszę, tu jest pełna ich lista - Podał jej ulotkę. - Bardzo proszę wskazać, o który dokładnie chodzi, no i jakiej natury jest to problem.

Przeleciała wzrokiem po spisie. Jedna pozycja ją zaskoczyła.

- Program lokalny? - spytała, marszcząc brwi.

- Nowość w naszej ofercie. - Maciek brzmiał, jakby każde wymówione przez niego zdanie było informacją nieumiejętnie nagraną na automatyczną sekretarkę. Niewyraźnie i nieprzekonująco. Tak samo nieprzekonujący był jego strój. Ktoś wcisnął tego spłoszonego człowieka w garnitur i kazał mu podbijać świat, mimo że on się do tego zupełnie nie nadawał. - Na razie przeprowadzamy fazę testów. Ruszy to dopiero za około półtora miesiąca. Mogę wiedzieć, jaki to ma związek z państwa sprawą?

- Być może żaden. Przyszliśmy tu z... emmm... wątpliwościami odnośnie tej nowej stacji, która nadaje audycje z naszego osiedla.

- Z państwa osiedla? Zastanawiające. - Jego głos wciąż usypiał, ale teraz zaczęła w nim pobrzmiwać także nutka ironii.

- Też tak sądzimy. Na dodatek nielegalne. I po prostu nieprzyzwoite. Co więcej, wydaje się nam, że ktoś po prostu brzydko się bawi naszym kosztem.

- Zaraz, zaraz. Czy ja dobrze panią zrozumiałem? Ktoś nagrywa w Krakowie jakiś nielegalny reality show?

- Owszem.

- Hmm... A na pewno jest pani abonentem „Telenovy”?

- Od lat.

- I odbiera pani program, na którym pokazują jakieś osiedle?

- Mówiłam niewyraźnie? Nie jakieś, tylko nasze.

Maciek zamilkł. Jego twarz wyrażała jednocześnie zdziwienie i strach. Nie oszukujmy się - nienawidził tej pracy, trafił tu tylko dlatego, że nie dostał się na ASP. To w jakiś sposób splatało jego losy z losami Adolfa Hitlera - myślał nieraz, uśmiechając się kwaśno. Teraz na dodatek był w opałach, bo przyszła do niego para nawiedzonych telemaniaków, którzy zobaczyli coś, co tak naprawdę nigdy nie istniało. A ojciec powtarzał mu przecież: „Próbuj do skutku dostać się na wymarzoną uczelnię, bo potem przez resztę życia będziesz odwalać robotę, do której się zupełnie nie nadajesz”. Czemu nie posłuchał?

Czemu tak szybko odpuścił? Mógł być przecież nowym Munchem, nowym Picassem, nowym Salvadorem Dali... Albo chociaż Esherem!

- To... niepokojące - rzekł, wstając. - Poproszę państwa za mną, obok mamy specjalną salę do prezentacji, tam będziemy mogli wszystko na spokojnie sprawdzić.

Łajzowatym krokiem powlókł się w stronę korytarza, a oni ruszyli za nim.

Weszli do obszernego pomieszczenia, w którego centralnym punkcie stał stolik z telewizorem oraz rząd krzeseł. A więc to tu „Telenova” miała potencjalnych klientów wizją teleraju dla każdego? Trudno przypuszczać, by ktokolwiek, kto najpierw wszedł do ich biura, zechciał zawrzeć z nimi umowę. To właśnie tutaj ludzie mieli podejmować decyzje, czy chcą zainstalować kablówkę u siebie. Monstrualnych rozmiarów sprzęt LCD, na który spoglądali teraz Anka i Paweł, z pewnością stanowił mocną kartę przetargową.

Stojące po bokach kolumny też były zapowiedzią potęgi, która zwali widza z nóg. Na czymś takim każda, nawet najmniejsza audycja musiała prezentować się oszałamiająco.

- Sprawdzimy, z którym z programów mają państwo kłopot i czym to może być one spowodowane, tak? - powiedział Maciek, tonem gogusia z Telezakupów Mango. - Jeśli to jakaś usterka natury technicznej, usunięcie jej nie zajmie nam dużo czasu. - Mimo, że sytuacja była absurdalna, postanowił wykazać maksimum profesjonalizmu. W duchu nie przestawał się śmiać.

Włączył panel i zaczął skakać po kanałach. Tak naprawdę nie spodziewał się niczego podejrzanego znaleźć. Takie rzeczy nigdy się nie zdarzają. Uznał, że jego klienci to jakieś nawiedzone ćwoki. Z gatunku tych, którzy odwiedzili biuro przed niespełna tygodniem i zaczęli tłumaczyć, że telewizja jest największym złem tego świata, uniemożliwia rozróżnienie między prawdą a zmyśleniem, że kino jest dziełem Szatana, a bracia Lumiere w rzeczywistości nazywali się Lucyphere. Tak, tak, pewnie, pewnie. Kolejny antyglobalistyczny, czy może raczej newage'owy bełkot. Od pewnego czasu liczba maniaków

zamieszkujących naszą piękną planetę chyba się potroiła. Zaś Maciek miał takie nieszczęście, że nieustannie się na rozmaitych czubków natykał. A mógł być przecież wielkim artystą, mógł być...

- Nasza sieć jest skonstruowana w ten sposób - tłumaczył - że stacje mamy dostrojone do poszczególnych programów i w większości przypadków nie trzeba nawet używać opcji wyszukiwania, aby zacząć je odbierać. Po prostu wskakują z automatu. To duże ułatwienie dla nowych użytkowników. Ten telewizor też został właśnie tak ustawiony.

Wszystko dokładnie w tej kolejności, co w tabelach na naszych ulotkach. Program pierwszy na jedynce, Polsat na trójce, TVN na piątce, a na przykład KTL to numer dwadzieścia trzy.

- KTL? - zdziwił się Paweł. Nigdy wcześniej nie słyszał o czymś takim. Brzmiało jak RTL, na którym w czwartki i piątki po północy szły soft erotyki albo hardcorowe talk shows o seksie w najprzeróżniejszych jego odmianach. Jeśli to miało być czymś choć trochę podobnym, może warto by było bliżej się tym zainteresować.

- To ten program, o którym przed momentem państwu wspominałem. Już pokazuję - odparł tamten, ustawiając żądany kanał. - O, proszę. Krakowska Telewizja Lokalna. Nasza nowość. Ruszy pełna parą już niebawem.

Na ekranie zobaczyli szarego jak karton mężczyznę. Prezentował właśnie wiadomości regionalne, głównie informacje o wydarzeniach kulturalnych: premiery kinowe i teatralne. Mówił o prapremierze „Trzech Stygmatów Palmera Eldritch’a” w Teatrze Starym. Paweł skądś znał twarz dziennikarza. Z pewnością nie był wielką gwiazdą, ale już kiedyś pojawił się z drugiej strony szkła. Zresztą, kto dzisiaj nie był ani razu w mediach?

Przedsięwzięcie miało posmak amatorszczyzny rodem z filmów Eda Wooda i wydawało się dość komiczne, jednak Ance i Pawłowi nie było do śmiechu. Nie mogli uwierzyć, że tutejszy program dwudziesty trzeci przedstawia coś zupełnie innego niż ten u nich.

- To chyba z tym programem mieliśmy... problemy - powiedziała Anka.

- Tak? Rzeczywiście podejrzana sprawa. Czy może raczej: zupełnie niemożliwa.

- Niby czemu? U nas na dwudziestce trójce były ujęcia z naszego osiedla. Scenki z życia mieszkańców, którzy nawet nie wiedzieli, że są filmowani. Ktoś zachował się nie fair i tyle. Chciał się pobawić w Wielkiego Brata naszym kosztem. Mogliśmy od razu zgłosić to na policję, ale postanowiliśmy, że najpierw zapytamy was.

- Proszę pani. Słusznie zrobiliście, że najpierw przyszliście tutaj. To się wam chwali.

Jednak KTL przechodzi na razie fazę testów. Nagrywają w studiu i z pewnością nie

puszczają żadnych reportaży z terenu. Z tym ruszą dopiero za jakiś czas.

- A nie mają przypadkiem w planach reality show w klimacie horroru?

Maciek parsknął śmiechem. Resztki profesjonalizmu już z niego wyparowały. Od razu zapomniał też o dręczącym go od lat weltschmerz. Ta robota stawała się coraz zabawniejsza. A on myślał, że będzie tylko siedział za biurkiem i stukał w klawisze. Kto by podejrzewał, że będą się do niego zgłaszać najcięższe przypadki kliniczne! Może warto w przyszłości postawić na prywatną praktykę, żeby wyciągnąć trochę grosza od takich głabów?... A mógł zostać artystą, mógł całymi dniami siedzieć na kwadracie, chlapać na płótno, gościć kolejne kochanki, częstować drinkami kolejnych krytyków.

- Szanowna pani. Ta stacja z trudem uzbierała pieniądze na stworzenie szeregu programów informacyjnych. Na rozrywkę - choćby taką w najtańszym i najgorszym wydaniu - naprawdę ich jeszcze nie stać.

Paweł popatrzył na Ankę z powątpiewaniem. Ktoś tu robił ich w wała. Przecież na własne oczy widzieli, co się działo. I nie był to żaden pieprzony serwis informacyjny!

- Jeżeli mają państwo dalsze wątpliwości, proszę skontaktować się z szefem KTL.

On z pewnością udzieli znacznie bardziej szczegółowych informacji na temat swoich audycji. Wszelkie zastrzeżenia również można zgłaszać do niego, niekoniecznie tu - rzekł, wręczając Ance wizytówkę niejakiego Rafała Witczaka, chyba nieco na wyrost nazywającego się prezesem stacji telewizyjnej KTL. - Można też zgłaszać je na przykład do Krakowskiej Poradni Terapii Nerwic, ulica Lenartowicza ileśtam.. Ha, ha... Przepraszam.

Mam nadzieję, że państwa nie uraziłem.

4

- Co cię do mnie sprowadza, Andrzeju? - spytała.

Pani psychiatra. To dziwnie brzmi. Błede oblicze nad otwartym segregatorem. Żółte kartki zapisane hieroglifami, których nie dają rady odszyfrować.

Ciągle mną telepie z nerwów, ale to już powoli przechodzi. Zupełnie jak na trudnej klasówce - na początku tylko kompletna pustka i brak słów. I ochota, by uciec stąd, z okrzykiem: „Wiem, że nic nie wiem! Wiem, że nic nie wiem!”. Ale po paru chwilach jest już całkiem ok. Przecież ta kobieta nie jest tu po to, żeby zrobić mi krzywdę.

Nie miałem pojęcia, co mam jej odpowiedzieć.

- Zapewne masz jakiś poważny problem, prawda? Nie wstydź się, powiedz po prostu, w czym rzecz.

Chrząknąłem.

- Do tej wizyty... namówiła mnie matka. Gdyby nie ona, nigdy bym tu nie trafił - przyznałem. Nie byłem pewien, czy o taki „problem” babce chodziło. Bo i czemu tu przyszedłem? Przecież byłem okazem zdrowia, więc w czym problem?

- Aha. Rozumiem. Ale czemu mama postanowiła umówić cię na wizytę. Czy coś w twoim zachowaniu ją zaniepokoiło?

Zaniepokoiło? No, fakt, matka ostatnio była trochę zdziwiona tym, co robię, wkurzona na moje wybryki, nieustanne siedzenie w domu i gadanie do samego siebie, na to całe pocięcie się, szukanie dziury w całym, to znaczy we własnym ciele... na to wszystko generalnie. Trzeba staruszkę zrozumieć. Każdemu by opadła kopara, jakby jego syn zaczął się tak zachowywać.

- No myślę, że głównym powodem tego, yyy, że tu trafiłem, było, że yyy... że w ostatnich dniach trochę się zmieniłem.

- Zmieniłeś? Pod jakim względem?

- No, zacząłem więcej rozmyślać... o rzeczach i... i tak jakby zamknąłem się w sobie. Przestałem wychodzić z domu. No bo właściwie po co?... Pociąłem się nawet.

Nożem. Ale tylko raz.

- Mhm. Rozumiem. Samookaleczenie. To częste.

Skinąłem głową.

- Dlaczego to zrobiłeś? Chciałeś za pomocą bólu fizycznego odwrócić swoją uwagę od dręczących cię myśli, czy był jakiś inny powód?

Ciężko mi było o tym mówić. Słowa nie chciały przechodzić przez gardło, trzeba je było na siłę wypychać, jak przerażonych skoczków bungee. Chodziło przecież o prywatne sprawy. Ale ta kobieta, mimo upiornego wyglądu, sprawiała wrażenie raczej sympatycznej.

Może jednak nie jest częścią tego całego spisku? Może chociaż ona mnie zrozumie?

- Zrobiłem to, bo chciałem sprawdzić... czy moja powłoka... moje ciało... to jestem jeszcze ja.

- Mów dalej.

- No bo widzi pani. Ostatnio czułem się dziwnie. Jakbym został uwięziony w tym ciele. Które przecież wcale nie jest moje. To jest coś obcego. Takie jakby więzienie, w którym zostałem zamknięty. Za karę. Cela z mięsa i kości. Moja dusza została tutaj uwięziona i bardzo chciałaby się wydostać. Ale nie może. Po prostu nie może.

- Czy ostatnio myślałeś o samobójstwie?

O, teraz walnęła z grubej rury. Bo pocięcie pocięciem, ale samobój to już nie przelewki. To jednokierunkowa, z której nie ma powrotu. Powinienem z nią w ogóle gadać o

takich hardkorowych akcjach? Czułem, że się czerwienię, jak wtedy, gdy matka chciała rozmawiać ze mną o seksie.

- Nie denerwuj się. Nikt się nie dowie o tym, co mi mówisz. A już na pewno nie twoja mama. Wszystko zostanie między nami.

Te słowa mnie uspokoiły.

- Tak, zastanawiałem się nad samobójstwem. Parę razy.

- Opowiedz mi o tym.

- Zacząłem dochodzić do wniosku, że to może być jakieś rozwiązanie. No bo, widzi pani, ten świat, on wcale nie jest taki, jak się większości ludzi wydaje.

- Nie? A jaki twoim zdaniem jest?

- Yyy... Jakby to powiedzieć... Kilka dni temu doznałem takiego jakby... yyy... objawienia.

- Objawienia? - Jej brwi uniosły się. - Jak to wyglądało?

- Byłem wtedy na osiedlu, przed blokiem. Szedłem na zakupy ale nagle ugięły się pode mną nogi. Poczułem się... zmiażdżony. To było tak, jakbym w jednej chwili poznał prawdę, która przez lata była ukrywana. I ona mnie poraziła, przytłoczyła. Zrozumiałem, że nasz świat wcale nie jest prawdziwy. Bo to nie jest żaden świat. To jest... celuloidowe więzienie. Jeden wielki wymysł. Teatrzyk kukielkowy.

- Celuloidowe więzienie? Może powiedzieć coś więcej na ten temat?

Cały czas zawzięcie notowała w tym swoim segregatorze. Szkoda, że nie wiedziałem, o czym pisze... Może już wcześniej znała całą prawdę, a może dopiero teraz dowiedziała się, jak to wszystko w rzeczywistości wygląda. Ważne było, bym ją przekonał do swojej wersji wydarzeń. Wtedy miałbym kogoś po swojej stronie. Bóg mówił, że potrzebuję sprzymierzeńców. Wczoraj w nocy znów słyszałem jego głos. Twierdził, że przemawia do mnie z daleka. Spoza granic celuloideu. Z krainy prawdy i szczęścia. Mówił, żebym się nie bał. Nie lękaj się - powtarzał powoli, zmodyfikowanym elektronicznie głosem. - Nie... lękaj... się...

- Świat jest tym więzieniem. Ten nasz, który jest tylko echem prawdziwej rzeczywistości. Dalekim, dalekim echem. A my jesteśmy w nim zamknięci, uwięzieni za ekranem, w szklanych celach. I tylko śmierć może nas wyzwolić... Tylko w ten sposób możemy uciec z tej twierdzy celuloideu. Taka jest prawda. Ale nikt jej nie zna, bo zniknęła pod gęstym śniegiem zakłóceń.

- A co robiłeś przed tym... objawieniem? Wydarzyło się coś szczególnego?

- Nie, nic takiego. Dzień wcześniej byłem u kolegi. Chciałem pograć na GameCubie,

ale porobiły się straszne jajka z telewizorem. Cały czas wskakiwał jakiś nowy program.

Wkurzyło mnie to. No a poza tym, to nic takiego się nie stało. Nic ciekawego.

- A czy w ostatnim tygodniu brałeś narkotyki albo piłeś alkohol w dużych ilościach?

- Nie, właściwie nie. No, może ze dwa piwka. Raz paliłem zioło. Ale niewiele.

Zaciągnąłem się tylko parę razy. Mieliśmy mało towaru. To był niezbyt rozrywkowy tydzień.

- Często palisz marihuanę? Miałeś styczność z jakimiś innymi narkotykami? LSD, Ecstasy, amfetamina?

- Palę rzadko. Raz, dwa razy na miesiąc. W porównaniu z kumplami to mało. Taki Tadek na przykład co drugi dzień jest skurzony, no ale on ma kaskę, bo czasem też coś tam sprzedaje ludziom po znajomości... A jak idzie o mocniejsze rzeczy, to nie, jeszcze niczego takiego nie brałem. Czemu pani pyta? Chyba pani nie myśli, że moje objawienie było związane z jaramiem skuna? - Zaśmiałem się. - To na pewno nie tak. Bardzo się cieszę, że wreszcie poznałem prawdę. I jestem pewien, że z dragami nie ma ona nic wspólnego.

- A jaka jest według ciebie ta „prawda”? Powiedz o niej coś więcej.

- Nawet ja nie znam całej prawdy. Zna ją pewnie tylko Bóg. Wiem tylko, że kluczem do wszystkiego są trzy słowa: prawy, lewy, złamany.

- Prawy, lewy, złamany? - spytała, znów unosząc brwi.

Dopiero teraz uzmysłowiłem sobie, że to wszystko ściema. Że ona wcale mi nie wierzy. Przejrzałem maskę, którą była jej twarz. Pod nią kryło się tylko rozbawienie. O, jak fajnie, kolejny czubek przyszedł się zwierzać, a flota leci nabijając portfel...

Była jedną z nich! Kolejna statystka, tkwiąca w spisku po uszy, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Jej zadaniem było wyciągnięcie ze mnie jak najwięcej szczegółów, wywleczenie na światło dzienne wszystkich cennych informacji. Nic dodać, nic ująć. Ona też stała po stronie celuloidowego więzienia.

Nie było dla mnie ratunku, macki tajnej agentury sięgały najciemniejszych zakamarków miasta. To nie jakiś „Matrix”, że walniesz sobie pigułę i wyskakujesz z uludy prosto w objęcia prawdziwego świata. Tu wszystko od początku do końca było pod kontrolą.

- Tak, dobrze pani usłyszała.

- A co to może oznaczać? Co - twoim zdaniem - ten „klucz” otwiera?

- Oczywiście. On otwiera ludziom oczy.

IV. Statyści

Sala była niewielka, zadymiona do granic możliwości. Zgromadziło się tu nie więcej niż trzydzieści osób. Na scenie Statyści rozkładali właśnie sprzęt. Była 18.30, koncert miał zacząć się o 19.00. Ludzie siedzieli przy stolikach, pijąc, paląc, rozmawiając, zajmując się po prostu swoimi sprawami. W ich zachowaniu nie dało się wyczuć jakiegoś wielkiego oczekiwania na występ. Prawdopodobnie przyszli tu jak do każdego innego pubu, a koncert traktowali jako dodatkową - choć wcale nie niezbędną - atrakcję.

Olek odnalazł to miejsce po dłuższych poszukiwaniach. Położony na uboczu lokal nie przyciągał wzroku, nie miał nawet szyldu reklamowego. Olek nigdy by tu nie trafił, gdyby nie wydrukował sobie ściągniętej z Internetu mapki. Tak właśnie dowiedział się o koncercie - ze strony zespołu. Nie pisano o tym w gazetach, nie mówiono w radiu. Kapela była za mało znana, żeby zwrócić uwagę szerszej publiczności. Jakiegokolwiek informacje na ich temat można było wyłowić jedynie z sieci. Choćby taką, że są czwórką bliskich przyjaciół, którzy grają razem od ponad trzech lat.

Jeśli po trzech latach szło im tak dobrze, jak wielcy staną się w przyszłości? - zastanawiał się Olek.

W sieci wyszperał też ich jedyny jak dotąd wideoklip. Pięciominutowy czarno-biały filmik przedstawiał młodego gitarzystę i piosenkarza - jednego z tych noszących podarte jeansy i flanelowe koszule, kolejnego wyznawcę „brzmienia Seattle”. Chłopak miał pewnie pod trzydziestkę, włosy do ramion, lekki zarost. I dziwny smutek w spojrzeniu. Siedział na krześle pośrodku ogromnej sali po brzegi wypełnionej fanami.

Śpiewał i grał, wszyscy bawili się świetnie, ręce w górze, pogo, wrzaski, anarchia, istne „Smells like teen spirit”. Jednak im bliżej końca utworu, tym mniej ludzi było widocznych na ekranie. Znikali jeden po drugim, po prostu rozplywali się w powietrzu.

Pod koniec piosenki na sali został już tylko samotny artysta. Po chwili zniknęła również i sala - ściany zadrżały jak wstęgi dymu targane nieznanym wiatrem, a potem zostały całkiem zdmuchnięte, po paru sekundach nie było już po nich śladu. Wtedy okazało się, że muzyk jest tak naprawdę pacjentem zakładu psychiatrycznego. Tylko mu się wydawało, że osiągnął status gwiazdy. W rzeczywistości był kolejnym biedakiem zamkniętym w pokoju o miękkich, białych ścianach, wciśniętym w kaftan bezpieczeństwa, otwierającym usta nie po to, by śpiewać, ale żeby błagać o pomoc.

*

Olek siedział przy stoliku sam. Sączył browca z sokiem malinowym.

Odkąd pierwszy raz posłuchał EPki Statystów nie mógł się doczekać, aż zobaczy tych

facetów na żywo. Zaś sami Statyści, no cóż... wyglądali jak studenci. Olek nie spodziewał się, że muzycy grający tak nieprzeciętnie mogą być młodsi od niego. A może to on się postarzał? Co prawda w Stanach nieraz już zdarzały się takie fenomeny, że nawet goście dwudziestoletni byli okrzykiwani geniuszami rocka, ale w Polsce dotąd nie było jeszcze podobnego przypadku. Krajowa scena muzyczna stanowiła tak naprawdę parodię tego, co działo się na świecie. Było tu kilku dziadków, którzy wciąż płynęli na tej samej, malejącej z każdym rokiem fali zachwyty sprzed lat, kilku przebierańców z pochodniami, pasujących bardziej do cyrku niż na estradę, i całkiem spora grupa młodych... naśladowców. Mieliśmy swój własny pop - bardziej tandetny niż ten z Zachodu, swoje własne r&b - żałosne, jak każdy biały, który udaje czarnego - a także swój własny rock.

Bardzo zły, z niewielkimi wyjątkami.

Gdy Olek powiedział szefowi, że Statyści są naprawdę świetni, a ich pierwsza, pozbawiona tytułu płytka to gitarowe arcydziełko, tamten sprawiał wrażenie zaskoczonego i poirytowanego.

- Nie wierzę. Naprawdę dałeś się nabrać na ten szajs? - spytał.

- Jaki szajs? O co panu chodzi?

- Już ty wiesz, o co. To przecież zupełna przeciętność. Pieprzone studenciaki starają się kreować na wielkich artystów, usiłują robić dobrą minę do złej gry. Cały indie rock na tym jedzie: jesteśmy brzydki, gówno umiemy, to udawajmy, że chodzi o coś więcej, niż pukanie lasek na afterkach.

- Ale szefie, ci goście serio dają radę! Kto wie, czy już nie są najlepsi w Polsce. To jest nowatorskie. Oryginalne. Tego mi zawsze w naszej alternatywie brakowało. Osobnych zjawisk.

- E tam, oryginalne! Złapałeś się po prostu na ten ich pseudofilozoficzny haczyk. Nie tak było kiedyś z Mansonem? Grał ze swoją grupą Spooky Kidsów po małych klubach, wciągał kokę, przebierał się w sukienki. Aż tu nagle pewnego dnia media zobaczyły w nim geniusza, tylko dlatego, że w wywiadach przyznawał się do fascynacji Nietzschem. Mnie taki bełkot o głębi po prostu nie bierze.

- Manson to co innego. Sprzedał miliony płyt. A Statyści... no nie wiem, czy choćby setkę. Tą ich EPkę można kupić tylko w sieci. Nie ma tutaj mowy o lansowaniu się na siłę, dorabianiu sobie jakiegokolwiek gęby. Nie pisze się o nich, nie mówi w radiu ani w TV. Kolesie medialnie nie istnieją. Są dobrzy, a nikt ich nie zna. Trzeba im pomóc. Każde wsparcie się gościom przyda. Ja tam chętnie skrobnę reckę, przejdę się na koncert, popytam ludzi...

- Piszze, jak masz ochotę, chłopie. Ale niech ci się nie marzy, że ja nagle zacznę tych idiotów promować.

- To niech pan choć posłucha ich krążka!

- Bez dyskusji. Ty mi nie będziesz wmawiał, co jest dobre, bo gównu tam wiesz, a ja na tym biznesie zjadłem zęby. Więc znaj proporcje. Objawieniem tego roku są Zdzieracze skalpów. I kropka. Oni idą na okładkę nowego numeru. Zrobię z tych chłopaków polskich The Strokes! Sam przyznaj, mają spory potencjał.

Olek tylko pokręcił głową. Wiedział, że gust szefa jest całkowicie niereformowalny.

Że też taki kretyn mógł mieć własne pismo! Że też taki ciężki frajer mógł promować na łamach swojego szmatławca całkowicie denne kapele, jedna za drugą! Tutaj tak naprawdę nigdy nie chodziło o muzykę. Tylko o kasę, układy, klepanie się nawzajem po dupach przez wpływowych dziadów. Szef miał kaszany jak lodu, było go stać na to, by wydawać swój nędzny magazynik. Prawdziwi znawcy nie mieli takiej możliwości. Do szpiku złe, grające tragikomiczną muzę zespoły podobały się rednaczowi i jego zapijaczonym kumplom, więc to one były promowane i wychwalane w recenzjach. Dobrzy muzycy najczęściej w ogóle nie trafiali na łamy. Jaki był sens pracować dla takiego palanta? Po chuja w ogóle siedzieć w takim chlewie?!

Gdy sprzęt był już podpięty, wokalista Statystów stanął przy mikrofonie i zakasłał.

- Dziękuję wszystkim za przybycie - powiedział. - Zaczynamy.

Potem zabrzmiały pierwsze akordy gitary. Równie hipnotyzujące, co spirala na okładce płyty.

2

Areczek-ELO!: Hejo dzieciak! Co u ciebie?

Andrzej16_KR: A idź mnie nie wkurwiał nawet...

Areczek-ELO!: No co jest? Lepiej się już czujesh?

Andrzej16_KR: Nie. Gorzej. Przez was. Szkoda gadać:-(

Areczek-ELO!: He?

Andrzej16_KR: No kurwa naopowiadaliście matce gupot. Ona mnie przez to wysłała do psychiatry! Po coście jej mówili o jaraniu?!

Areczek-ELO!: Pierdolisz?! Pojechała po całości...:-(

Andrzej16_KR: Czemu jej gadaliście że skuna przypalamy? Co to miało być? Nagle was wzięło na wielkie kablowanie?

Areczek-ELO!: No bo myśmy się martwili że ci się faza zawiesiła. Serio źle to

wyglądało. To żeśmy jej powiedzieli prawdę. Kazek w kółko gadał że jak będą wiedzieli od czego cię pokręciło to może ci jakoś pomogom. Ja tam mu uwieżyłem. Nie przewidywaliśmy aż takich jajek.

Andrzej16_KR: Stary... matka mnie teraz uważa za totalnego świra! Myśli że od palenia rzuciło mi się na mózg!

Areczek-ELO!: A jak było u psychiatry? Uznali cię za czuba??;-D

Andrzej16_KR: Mam nadzieję że nei. Ale muszę brać leki. Jakąs Zyprexę jebaną.

Areczek-ELO!: Daje ona coś? Fazka jakaś jest?;-P

Andrzej16_KR: No tyle daje że jestem ciągle śpiący i spokojny jak trup. Nic poza tym.

Areczek-ELO!: To spoczko! Czyli skopało cię trochę;-D. Ale powiedz stary co to się z tobą działo ostatnio? Zwidy miałeś?

Andrzej16_KR: Już nie pamiętam. To było trochę jak sen. Wydawało mi się że z nieba lecą zakłócenia że jest koniec świata. I że Bóg do mnie gada.:-(

Areczek-ELO!: Tradzedija:-/ Ale teraz ci lepiej? Nie masz jush takich chorych jazd?

Andrzej16_KR: Nie aż takich to już nie.

Areczek-ELO!: A kiedy będziesz spowrotem w budzie? Stęskniliśmy się za tobom! Nauczyciele się nawet pytają co u ceibie;-) **Andrzej16_KR:** Pewnie za jakiś tydzień-dwa. Jak będzie wiadomo że nie dostaję nowych schiz.

Areczek-ELO!: Świetnie że wróciłeś do żywych. Zmartwychwstałeś niczym co najmniej Jezus, hłe, hłe.

Andrzej16_KR: No rzeczywiście czuję się jakbym z grobu wylaz:-D

3

Występ był elektryzujący. Przez niemal godzinę Olek siedział jak na szpilkach. Głos wokalisty na żywo robił jeszcze większe wrażenie niż na płycie, aż czuło się dreszcze przebiegające wzdłuż kręgosłupa. Facet używał wszystkich dostępnych środków wyrazu: śpiewał, wył, krzyczał, łkał, deklamował, bitboxował, a nawet wydawał nieartykułowane odgłosy przywodzące na myśl Jonathana Daviesa z pierwszych płyt Korn. Kapela również dawała radę. Ściany gitar płynnie przechodziły w partie akustyczne. Bębny napierdały jak osobny blitzkrieg. Było widać, że ci kolesie są stworzeni do wielkich rzeczy, a nie do koncercików dla paru osób bez gustu i pojęcia, gdzie od czasu do czasu ktoś zaklaszcze, a od czasu do czasu beknie, kończąc kolejny kufel.

Jak tylko skończyli grać, Olek postanowił przełamać nagłą nieśmiałość, która ogarnęła

go po tak świetnym show. Podeszedł do nich, włączając dyktafon. Choć wiedział, że głównie z tego będzie, bo szef nigdy nie puści wywiadu na łamy, za żadne skarby. Robił to chyba tylko dla siebie, żeby mieć co wspominać, jak przyjdą chude lata.

Przedstawił się i wyjaśnił wokaliście, że to właśnie on wcześniej dzwonił, żeby uzgodnić szczegóły.

- Robert. Miło mi... Miło nam wszystkim - odparł. Śmiał się, że będzie to pierwszy wywiad, jakiego w życiu udzieli. Potem przedstawił pozostałych.

Usiedli przy stoliku i zamówili browary.

- Chłopaki. Jesteście czymś osobnym na polskiej scenie, to widać i słyszać.

Stawiacie na minimalizm, self-made i szeroko pojęte Lo-Fi. W niszy lokalnego podziemia szukacie chyba niszy jeszcze głębszej, elitarnego getta, gdzie słuchacz łatwiej zobaczy ducha Presleya, niż was. Celowo?

- I tak, i nie. Wprawdzie mając większe środki nie ruszylibyśmy od razu nagrywać z orkiestrami symfonicznymi i rozbudowaną sekcją dętą, ale na pewno bralibyśmy pizzę z większą ilością dodatków niż teraz, kiedy siedzimy w studiu i nas ssie w żołądkach - zaśmiał się Robert. - Pewnie, że to zupełna nisza, zero promocji i bazowanie na tym, że jeden kumpel poleci nas drugiemu. Ale raz w Warszawie wpadło na nas ponad sto osób. To nie był przypadek, nikogo wtedy nie supportowaliśmy... Promocji nie mamy żadnej.

Czasem coś wrzucimy w sieć i tyle. Na razie wystarcza.

- Wydaliście ostatnio EPkę, bez tytułu, ale za to z intrygującą spiralą na okładce. Podprogowa reklama antykoncepcji, czy jakieś bardziej muzyczne nawiązanie?

- Wiesz, podczas sesji nasłuchałem się „Downward Spiral” Nine Inch Nailsów. Jeden kumpel robi w grafice komputerowej i spytałem, czy by nie chciał sklecić czegoś w ten deseń. Więc wychodzi, że bardziej nawiązanie.

- Chyba nie jedyne. Dołączący klimat też się wam udzielił.

- Czy ja wiem? Są przecież światełka w tunelach. Dla oddechu zapodawaliśmy sobie reggae, albo Richarda Cheese. Były jazdy w dół, pewnie, ale ostatecznie to nie „Kid A” ani „In utero”. A mogliśmy iść w emo i dodawać żyletkę do każdej płyty. Marketingowo to mógłby być dynamit.

- Chcecie być polskim Toolem? Parę osób tak twierdzi.

- Daj adresy, policzymy się z nimi - zaśmiał się znowu - Nie wierzysz, że to by u nas przeszło?

- Wątpliwe. W radiu wolą rzeczy bardziej user-friendly, w telewizji tym bardziej.

Prasa nabrałaby wody w usta, teraz raczej szukają lokalnych przejawów new rock

revolution, choć o trzy-cztery lata za późno. Ale jak zapewnisz budżet, to zaraz kręcimy, ulepi się ludziki z plasteliny, kasztanów nabiera...

- Trzymam za słowo. Druga płyta i „Plastusiowy pamiętnik”. Bylibyście w stanie zagrać i zaśpiewać coś toolowego?

- Aż tak dobrzy chyba nie jesteście. Chociaż sekcją rytmiczną możemy każdy Jarocin rozpierdolić.

Mimo młodego wieku, Robert sprawiał wrażenie znudzonego światem starca.

Rzadko spotyka się coś podobnego u ludzi w jego wieku. Wydawało się, że wszystko, czym się w życiu zajmuje - no, może poza śpiewaniem - sprawia mu nieopisaną udrękę. Od czasu do czasu zaciągał się fajką, ale leniwie i z wyraźnym niesmakiem. Był chyba rozczarowany dzisiejszym koncertem, chociaż poszło im lepiej niż świetnie.

- Mówimy o Toolu, to może zdradziłbyś jakieś inspiracje pozamuzyczne. Nie gracie tylko po to, żeby robić hałas. Tool ma lachrynologię, a wy?

- Szeroką paletę schiz, paranoi, psychoz i co tam jeszcze chcesz.

- Wyłącznie psychiatryczne inspiracje? Czemu więc nie gracie w kaftanach? Byłby prawie Slipknot.

- Z psychiatryka nas wyrzucili i już nie wpuszczają. Pozostały filmy. Wiadomo: Matrix, Trzynaste piętro, W paszczy szaleństwa, Dark City... Kumplowaliśmy się od dawna, wymienialiśmy ulubionymi tytułami. Do tego książki, Dick, Gibson, tego typu sprawy.

- Większość w tego, co wymieniałeś, podważa świat realny, przedstawia rzeczywistość rozszczepioną, potrzaskaną...

- Pewnie, ale jeszcze bardziej ekstremalnie i bez trzymanki robi to gość o pseudonimie Adam Omega. Niekiepski filmowiec, którego dzieła chyba dały nam najmocniejszego kopniaka, jak tak teraz patrzę.

- Amerykanin?

- Polak.

- Nie słyszałem. Chyba kolejna nisza.

- Wybitny koleś. Nieznany popcornozercem, ale rozpoznawalny na festiwalach. Ma swój styl. Jest niesamowity.

- Młody? Debiutant?

- A skąd. Staruszek. Pewnie z osiem dych na karku. Nakręcił jak na razie sześć filmów, teraz pracuje podobno nad swoim opus magnum.

- Dziadzio, z takim pseudo? Myślałem, że ludzie na starość poważnieją.

- Adam to luzak. Spotkałem go osobiście tylko raz, ale nie pamiętam, że bym

kiedykolwiek słyszał taką nawijkę od kogokolwiek. To był cały wykład, z setkami anegdot.

O solipsyzmie, samotności jednostki, względności każdego ze światów, jakie obecnie istnieją. Omega cytował z pamięci Baudrillarda i McLuhana, wspominał o Vico, Nietzschem, objaśniał, co jego zdaniem znaczy termin: „Świat jako wola i przedstawienie”...

- W jaki sposób wpłynął na wasze granie?

- Wpłynął to za mało powiedziane. On nas zdefiniował. Od podstaw. To jest tak.

Oglądasz jakiś jego film, przez cały seans próbujesz się połapać, o co biega, a potem nagle jest taka scena, że zaczynasz się momentalnie czuć jak nowonarodzony, jakbyś był świadkiem cholernego objawienia.

- To zupełnie jak po przesłuchaniu waszej EPki.

- I o taki efekt szło. Szkoda, że to tylko pięć utworów. Może kiedyś szarpniemy się na longplay.

- Kto wam to puścił?

- Self-made, z małą pomocą przyjaciół. Produkcją zajął się nasz nieoceniony Krzysiek Bala, chyba jedyna osoba, która zawsze w nas wierzyła. Ten gość to taki polski Steve Albini. Cuda robi, jak tylko siada za konsolą.

- Też fan Omegi?

- Pewnie, i to wielki... Słuchaj, jak cię Omega ciekawi, to my zaraz wracamy na motel, gdzie mamy wideo, no i filmik Adama - wczesny, co nie znaczy, że nie wyczesany.

Zawsze wozimy ze sobą jakieś jego rzeczy, dosłownie jak amulety. To co, reflektujesz?

- Brzmi nieźle.

- Tym razem mamy jego debiut - czarno-białą krótkometrażówkę „Ulica uli”. Coś prześwietnego...

4

Od dwóch dni znów czułem się źle. Ta cała Zyprexa chyba przestała działać. Dziś od rana udawałem przed matką, że wszystko jest całkiem spoko, ale korba waliła mi ostro.

Musiałem się bardzo starać, żeby stara się nie skapła, jak jest.

Odkąd się obudziłem, moja głowa była lekka, jakby napełniona helem. Choć może to nie hel, bo głos miałem normalny, nie jak wiewiórka z kreskówki. Może to było coś zupełnie innego, jakaś wata, co mi ją ktoś wepchał do czaszki. Tylko po co? Może, żebym nie mógł myśleć o celuloidowym więzieniu i o tym, jak uwolnić z niego ludzi.

W nocy porobiły się naprawdę chore rzeczy. Zwidy i majaczenia. Widziałem pokój

pełen luster. W jego epicentrum stał stary telewizor. Podeszedłem do niego, bo wydał mi się inny, dziwniejszy od tych, które znałem. Ekran był czarny jak otchłań, naprawdę przerażający. I pulsował. Jak tylko go dotknąłem, to w miejscu, gdzie moje palce zetknęły się z powierzchnią, pojawiły się koła, zupełnie jakby wrzuciło się kamienie w wodę. Wydygany byłem już nie na żarty. To nie żaden telewizor! To było żywe! Jakaś chora istota, drapieżna, mięsożerna.

Wiedziałem, że cały czas mnie obserwuje, szykuje się do ataku. Przybyła z daleka i była wrogo nastawiona do gatunku ludzkiego. Chciała zająć moje miejsce, żyć moim życiem. Może właśnie dlatego telewizory stoją w centrum każdego mieszkania. To najlepszy punkt do podpatrywania zachowań domowników. A później można ich łatwiej udawać i nawet nikt się nie skapnie, o co chodzi. Ciarki przeszły mi po plecach, jak sobie to uświadomiłem.

Cofnąłem się o krok, choć przeczuwałem, że może być już za późno. Czemu od razu nie uciekłem? Czemu tak mnie to paskudztwo przyciągało do siebie?

Nagle z wnętrza ekranu wyłoniła się pokryta ciemnym śluzem dłoń.

Zanim się zorientowałem, złapała mnie za gardło i zaczęła wciągać w głąb telewizora.

Chciałem krzyknąć, wzywać pomocy, ale wtedy dotarło do mnie, że nie mam ust.

Przypomniałem sobie, że w swoim życiu oglądałem tak dużo telewizji, że zupełnie przestałem kontaktować się z ludźmi. Przestałem rozmawiać, więc moje usta - jako organ zupełnie już niepotrzebny - zarosły grubą błoną.

Teraz tylko oczy mogły wyrazić mój strach. Płakałem, łzy spływały mi po policzkach. A ręka ciągnęła mnie mocniej i mocniej. W końcu całkiem zniknąłem w otchłani ekranu. Było tam ciepło i ciemno, zupełnie jakbym był w czyimś łonie. Liczyłem na to, że wreszcie się obudzę, koszmar trwał jednak w najgorsze. Widziałem jak niesamowicie powolnym ruchem z telewizora wyłania się ktoś bliźniaczo podobny do mnie.

Mój sobowtór miał przekrwione oczy i poszarzałą twarz. W niepewności jego ruchów dało się wyczuć, że jest tu „nowy”, że w tej rzeczywistości na razie czuje się obco. Drżał i garbił się. To nie byłem ja. To było coś starego, odrażającego. Coś, co od lat marzyło, żeby zająć moje miejsce i teraz mu się udało.

Gdy uświadomiłem sobie, że tkwię uwięziony po drugiej stronie szkła, a moje złe odbicie, pomnożone setką luster, zmierza w kierunku drzwi, by odtąd żyć moim życiem, grać moją rolę, obudziłem się. Od razu zdałem sobie sprawę, że ten dzień nie będzie podobny do innych. Wiedziałem, że to już koniec.

Matka specjalnie wzięła urlop, żeby mnie pilnować. Żeby mieć pewność, że podczas jej nieobecności nie zrobię sobie krzywdy. Czasami jednak musiała wyjść z mieszkania, zrobić zakupy, zapłacić rachunki, zająć się różnymi sprawami. Na to właśnie czekałem od samego rana, udając, że jest dobrze i że nie musi się już o mnie martwić. Byłem cierpliwy, nie dawałem niczego po sobie poznać.

W końcu wyszła. Wiedziałem, że mam niewiele więcej niż dziesięć-piętnaście minut, bo poszła tylko na pocztę. Usiadłem na parapecie i zacząłem przypatrywać się niebu. Znowu przypominało ekran, sypał z niego gęsty śnieg zakłóceń, którego syk słyszałem głęboko w sobie.

Spojrzałem na ludzi przechodzących pod blokiem. Z wysokości byli naprawdę mali i zabawni. Jak marionetki, sterowane dłonią ukrytą za ciemnym szkłem nieba. Zrobiło mi się ich żal. Nieświadome stworzonka, wiodące swoje smutne i bezbarwne żywoty. Nie zdawali sobie z niczego sprawy. Choć może to i lepiej. To, że poznałem prawdę o tym świecie, sprawiało, że czułem się naprawdę staro.

Miasto widziane z tej perspektywy traciło realne kształty. Niektóre budynki były jak fatamorgana, drżały jak powietrze nad rozgrzany asfalem, chociaż dzień był chłodny, deszczowy, jak wszystkie poprzednie. Bezbrzeżnie nudny, niczym opowieść bez fabuły.

Zdawałem sobie sprawę, że niedługo to wszystko zniknie, wyparuje jak odległe wspomnienie, którym tak naprawdę zawsze było. Zostanie pustynia, bez ludzkich urojeń, marzeń i sensów. Bez historii, których nie będzie miał kto opowiedzieć. Wolałem nie być świadkiem tej tragedii...

Wiem, że nie ma już na co czekać.

Nikogo nie oświecę, nikogo nie uratuję.

Chciałem wyznać prawdę o moim objawieniu, o tym wszystkim, co się wokół działo, ale uznali mnie za wariata, wysłali na leczenie...

Odebrano mi nawet nadzieję. Nawet tego nie mogłem mieć.

Otwieram okno.

Przekładam nogi przez parapet.

Przez chwilę macham nimi beztrudnie. Przypominają mi się dni, które spędzałem na osiedlowym placu zabaw, na huśtawce. To było dawno, bardzo dawno. Arkadia dzieciństwa. Wciąganie kleju pod szkołą. Słodki zapach unoszący się z lufek. Dziewczyny, które nie zwracały na mnie uwagi. Gry, filmy. Godziny spędzone w budzie, długie jak makaron niesmacznego spaghetti. Jakie to było żałosne. Teraz wiem, że beze mnie byłoby wszystkim lepiej. Nawet mnie samemu.

Jestem taki niepotrzebny... Stary... Zmęczony...
Naprawdę nie chciałem, żeby tak wyszło.
Ale to jedyna szansa, by się stąd wydostać.
Skończyć z tym raz na zawsze.
Przepraszam - mówię, choć jestem w mieszkaniu sam.
Potem skaczę...

V. prawy, lewy, złamany

1

W niewielkim pokoiku położonego na przedmieściach Krakowa motelu cisnęło się pięciu dorosłych mężczyzn, których łączyło wręcz dziecinne uwielbienie sztuki we wszelkich jej przejawach. Tak przynajmniej myślał o tym spotkaniu Olek, już lekko podchmielony. Odnosił wrażenie, że ludzi takich jak oni jest z każdym dniem coraz mniej, jakby dosłownie znikali, rozplywali się w powietrzu. Nie przejmował się tym jednak zbyt, traktował to jak dobry żart. Wszystko, co przytrafiało mu się w ostatnim czasie, traktował jak żart. Swoją pracę, swoje życie. To był tylko skecz, który ktoś właśnie prezentował rozbawionej publice. Przecież naprawdę takie rzeczy nie mają prawa się dziać.

Popijali drinki, gadali. Olek cieszył się, że tamci grają tak świetnie, a pozostali tacy normalni, tacy sympatyczni. Mógł przecież trafić na jakiś ekscentryków, składających ofiary z niemowląt i pijących do kolacji krew dziewcząt. Ci panowie nie wyglądali na takich, którzy chcieliby tu zaraz odprawić czarną mszę.

Z niecierpliwością czekał na projekcję. Choć może użycie słowa projekcja w stosunku do puszczenia „Ulicy uli” na dwudziestojednocalowym telewizorku jest grubą przesadą. Oczekiwania miał jednak wielkie. Alkohol jeszcze je potęgował.

- Zanim to puścimy, muszę cię ostrzec. To naprawdę nie jest zwykły film - powiedział Robert, z dziwną powagą w głosie.

- Gadasz, jakbyś miał zamiar mi pokazać tę kasetę z „Ringu”. Albo co najmniej jakiś „La Fin Absolue Du Monde” - zaśmiał się Olek.

- No bo to jest coś w tym stylu. Może widziałeś w swoim życiu różne przegięte rzeczy, hardcore’owe niskobudżetowe horrory, ekstremalne pornole, jakieś części „Obliczy śmierci”... Ale „Ulica” to osobny rozdział. Mocniejszy i dający po głowie bardziej niż cokolwiek. Tego nie wymażesz tak łatwo z pamięci. To robi z tobą coś takiego, jakby gdzieś w środku odciskało trwałe piętno, znaczyło cię jako jednego z widzów, uczestnika na własne życzenie.

- Jeśli to miała być antyreklama, nie wyszło, bo tylko potęgujesz moją ciekawość.

- Jesteś pewien, że chcesz to zobaczyć? Skończmy teraz z żartami, bo nie gadam tego wszystkiego po to, żeby cię wystraszyć. Chcę, żebyś wiedział, jak się sprawy mają. To Sztuka przed duże „S”, ale potrafi zrobić miazgę z umysłu widza. Były przypadki, że ktoś okazał się zbyt słaby na taką jazdę.

- No a po co niby tu przyjechałem? Tyle mi nagadaliście o tym kolesiu, że mógłbym sam założyć jednoosobowy fanklub. Nie gadaj już, puszczaj. Zobaczymy, może i mnie ten cały Adam Omega czymś zaskoczy.

Robert włożył kasetę do magnetowidu. Pozostali członkowie kapeli nagle umilkli. Olek stwierdził, że to trochę... upiorne. Oni traktowali ten film jak mszę, którą trzeba odprawiać w absolutnej ciszy. Chyba jednak przeginali. Choć miał wielki szacunek dla kinematografii, szczególnie w jej niekomercyjnym wydaniu, nigdy na punkcie żadnego obrazu nie odbiła mu aż taka szajba. Słyszał kiedyś o podobnych grupach. Fetyszyści sztuki. Któryś powiesił się w galerii, nocą, przy ukochanej instalacji. Inny zapodał w kable złoty strzał, w słuchawkach mając jedną jedyną piosenkę, nagrałą dwadzieścia trzy razy z rzędu. W sumie do takich należał też chyba Chapman, ciągle pół kroku za Lennonem, z książką Salinger'a pod pachą. A więc mogli być niebezpieczni. Bo dla nich życie zawsze było drugorzędne w stosunku do tak zwanego Dzieła...

Przez jakieś piętnaście sekund na ekranie majaczył tylko śnieg zakłóceń i niewyraźny zarys jakiejś postaci, której nie dało się w żaden sposób zidentyfikować. Olek zaczął się bać, że cały film jest taki, „artystyczny” aż do przesady, jak „Begotten”, albo gnioty w rodzaju „Irreversible”, gdzie nie wiadomo, czy operator właśnie sobie wali, czy jeszcze udaje, że kręci. Po chwili jednak wszystko wróciło do normy.

Zobaczył zgarbionego mężczyznę. Samotnie szedł pustą ulicą, pośród przygnębiającego postapokaliptycznego krajobrazu, wśród ruin jakiegoś miasta, zgłiszczy budynków dymiących niczym fabryczne kominy, popękanych murów nieznannej metropolii.

Bohater poruszał bardzo... ekscentrycznie. Głowa drgała jak zawieszona na sprężynie, przez co to wszystko w nieodparty sposób kojarzyło się z klipami Toola. Było jednak znacznie bardziej nieprzyjemne w odbiorze. Oglądanie kilkunastominutowego marszu wśród ponurych pozostałości nieokreślonych zabudowań, wstęg dymu pnących się w brudne niebo, rzeczywiście męczyło. Zupełnie jakby widz maszerował razem z bohaterem. Każdy krok aż bolał, nieraz wywołując grymas na twarzy odbiorcy.

W końcu mężczyzna dotarł do jakiejś rozległej hali, na pierwszy rzut oka przypominającej opuszczony magazyn. Wszedł do środka. Od tego momentu operator kamery

przeszedł na kręcenie „z ręki”. Obraz zrobił się rozedrgany i ziarnisty. Olka zaczęły boleć oczy. Czuł ziarenka piasku pod powiekami, jak po wędrowce przez pustynną okolicę, tak nudną i sprawiającą wrażenie nieskończonej, mój Boże.. Popatrzył na pozostałych.

Wyglądali na pogrążonych w transie. Film wciągnął ich bez reszty. Przestali nawet mrugać.

Przestali nawet... oddychać?

Mężczyzna szedł wnętrzem hali, pośród wysokich na kilkanaście metrów regałów wypełnionych kasetami wideo i płytami. W kilkusekundowych odstępach na ekranie migały trudne do zdefiniowania obrazy. Strzępy wspomnień? Sceny z dziećmi bawiącymi się w piaskownicy, fragmenty filmów dokumentalnych o drugiej wojnie światowej, zdjęcia z obozów koncentracyjnych, chudzi jak szkielety ludzie otwierający usta w niemej prośbie, wybuchy niszczące całe miasta, rosnące grzyby atomowych eksplozji, neony nocnych klubów, w których odziani w czarne skóry osobnicy spółkowali ze świniami, podrzynając im gardła i pijąc posokę, rozrywane ciała noworodków, otwarte złamania, ciemna krew na białych kościach, rozpruwane hakami łona kobiet, wysysane gałki oczne...

Olek czuł, że robi mu się sucho w ustach.

Nie chciał patrzeć, ale nie mógł oderwać wzroku.

Bohater stanął przez jednym z regałów. Zdjął z półki pudło z kasetami. Wybrał jedną, po czym podwinął koszulę. Nadal nie było widać jego twarzy. Na klatce piersiowej miał wycięty żyłką lub nożem napis „Play”: czerwone litery na poranej bliznami skórze. Przyłożył do niego dłoń i wtedy na ekranie pojawiła się kobieta, wyskoczyła niespodziewanie jak królik z kapelusza. Była zgarbiona i cała się trzęsła. Nosila coś, co przypominało habit.

Olek poczuł, że całe jego ciało zaczyna drętwieć.

Chciał jak najszybciej wyjść na świeże powietrze.

Dusił się tu.

Jakby siedział przed tym ekranem od wieków.

Nie mógł już wytrzymać...

Mężczyzna i kobieta ruszyli razem przez halę, na końcu której stał stolik z magnetowidem i pokrytym pajęczynami telewizorem. Migotliwe reminiscencje ustały jak nożem uciał. Mężczyzna włączył kasetę. On i jego towarzyszka zaczęli oglądać film, w którym występowali jacyś młodzi ludzie. Na pierwszy rzut oka nie dało się poznać, kto to taki, jednak po dłuższej chwili Olek ze zgrozą stwierdził, że to przecież byli... on i Anka!

Sceny z ich wspólnego życia wyglądały na ekranie jak nieme komedie z początków ubiegłego stulecia. Śmieszne małe ludziki wiodące swoje śmieszne małe żywoty. Potem

ujrzał jeszcze siebie i Kasię, siedzących w „Hobb’s End”. Chmury dymu tuliły się do nich niczym stęsknione widma. Nie było z nimi Tadka. Musiał wyjść wcześniej, albo... nie przyjść wcale.

No popatrz, stary, jak było naprawdę, przypomnij sobie, dlaczego Anka cię zostawiła. Miej oczy szeroko otwarte. Ani mi się waż mrugnąć, kłamliwy skurwielu.

On i Kaśka spotykali się od kilku tygodni. Tamto wyjście do knajpy miało być ich ostatnim, bo potem Anka dowiedziała się o wszystkim i kontakt nagle się urwał. Olkowi chodziło tylko o seks i związane z nim emocje, nic więcej, naprawdę nie traktował tego poważnie. Jego życie wreszcie przestało być takie puste i beznadziejne, wreszcie powrócił dawno zapomniany dreszczyk, czy to nie wspaniale? Nie. Teraz, widząc to raz jeszcze, na spokojnie, w formie filmu, dostrzegł, jak bezsensownie się zachowywał. Gdy tak na to patrzył, czuł się nagi. Ktoś nagrał jego życie, jego uczucia, wszystko, co miał i czym nie musiał się z nikim dzielić. Wywłókł na światło dzienne rzeczy, które na zawsze powinny zostać ukryte w cieniu.

Olkowi zrobiło się tak niedobrze, że bez zastanowienia wybiegł z pokoju.

Myślał, że się porzyga.

Za dużo absurdu, za dużo... prawdy.

Stanął pochylony w korytarzu, wparł dłonie na kolanach. Oddychał ciężko, starając się powstrzymać opanowujące go drgawki. Dziwaczne uczucie, jakby ktoś pieścił go paralizatorem. Takiego czegoś nie przeżył nawet po najgorszej imprezie swego życia. Cóż to był za popieprzony film..

Gdy przypominający padaczkę atak minął, Olek wyprostował się i odetchnął głęboko. Miał nadzieję, że już po wszystkim. Tak, to musiał być koniec, bo na szczęście żaden zły trip nie trwa wiecznie, w końcu trzeźwość bierze nas w ramiona i jest dobrze.

Dopiero wtedy uświadomił sobie, że nie znajduje się już w motelu. Stał na pustej ulicy, wokół roztaczał się przytłaczający krajobraz zniszczenia, apokaliptyczna panorama, zagłada nie znająca litości ani umiaru.

Wszystko w zasięgu wzroku było czarno-białe.

Olek wrzasnął...

2

Do domu Witczaka Anka i Paweł poszli jeszcze tego samego dnia, zaraz po wyjściu z biura „Telenovy”. Stara kamienica, w której mieszkał, sprawiała odpychające wrażenie.

Śmierdziało w niej kocimi szczynami i naftaliną. Ściany korytarzy „ozdobione” były

wykonanymi markerem napisami. „Bohater u kresu” - głosił jeden z nich. Paweł, nie wiedząc czemu, doszedł do wniosku, że mowa właśnie o nim. „U kresu wytrzymałości” - dodał w myślach.

- Jak szef jakiegokolwiek stacji telewizyjnej może mieszkać w takiej ruderze? - dziwiła się Anka.

- Może się jeszcze nie dorobił, albo jest ekscentrykiem zajawionym w umiłowanie biedy. Ale raczej to pierwsze. Program nie ma na razie żadnych sympatyków, więc szeroka rzeka kasy nie zdążyła jeszcze spłynąć w kieszeń gościa.

Z trudem wdrapali się na najwyższe, czwarte piętro. Z każdym kolejnym schodkiem coraz bardziej zaczęli się garbić, jakby przybywało im lat, a bagaż bolesnych doświadczeń był już nie do udźwignięcia. Ich nogi były ciężkie niczym odlane z ołowiu.

Oboje nie przywykli do takich wycieczek. Żadne z nich nie uprawiało sportu, toteż kondycje mieli jak starcy. U siebie zawsze korzystali z windy i żalowali teraz, że dawniej w wysokich budynkach wind się nie montowało.

Ding-dong!

Ding-dong!

Za drzwiami z numerem 15 dało się słyszeć szuranie. Jakby kogoś wleczono.

Anka ze strachem w oczach popatrzyła na Pawła. Może niepotrzebnie aż tak się przejęli całą sprawą. Mogli po prostu zapomnieć, co widzieli - było-minęło, alleluja i do przodu - i mieliby teraz święty spokój. Czasem naprawdę lepiej sobie odpuścić.

Drzwi otworzyły się. W progu stanął niski łysy grubasek. Anka była niemal pewna, że skądś go zna. Występował kiedyś w telezakupach, a może w serialu. Cholera, ostatnio coraz częściej prześladowało ją złudzenie, że zna kogoś z ekranu. Istna paranoja, otwierasz konserwę a tam aktor bądź prezenter. Więcej znajomych miała za szkłem, niż w realu.

- No! Nareszcie dotarliście! - powiedział na przywitanie, podając im dłoń.

Miał w sobie coś z klauna, wywoływał to samo wrażenie smutku skrywanego pod powierzchowną wesołością.

- Rafał Witczak? - spytał Paweł tonem, którego zapewne nauczył się próbując wystraszyć szturmujących jego klub meneli.

- Pewnie, pewnie - odparł grubasek, przywołując na twarz uśmiech rodem z reklam past do zębów. - A wy jesteście Ania i Paweł, prawda? O, przepraszam, Anka nie lubi, jak nazywa się ją zdrobniale, to bardziej pasuje lolitkom albo wieśniaczkom z Zielonych Wzgórz. A ona jest już przecież poważną panią filozof, he, he, he.

Z bliżej nieokreślonego miejsca dotarły do nich głośnie śmiechy, brzmiące, jakby

zostały puszczony z taśmy.

- Skąd nas znasz? - zapytała Anka, nie kryjąc zaskoczenia.

- Jak to skąd? Z najnowszego przedsięwzięcia mojego ojca. To chyba oczywiste.

Niedługo wszyscy was poznają - gdy tylko ten projekt zostanie puszczony w obieg i zacznie żyć własnym życiem. A może nie własnym, tylko waszym.

- Projekt twojego ojca? Niby jaki?

- No, już, już, nie stójcie tak w korytarzu jak te cielęta, zapraszam do środka - rzekł wykonując wystudiowany gest.

Nie wiedzieli, czy powinni wchodzić. Paweł, choć starał się wyglądać na takiego, co to niczego się nie boi, jest twardy jak Clint Eastwood w swoich najlepszych latach i w ogóle, miał ochotę wybiec z tej przeklętej kamienicy i nigdy nie wracać. Anka podobnie.

Liczyli jednak, że w końcu dowiedzą się, czym był ten poroniony program, który mieli nieszczęście oglądać. W głębi duszy cieszyli się nawet, że w ich życie wkradła się jakaś tajemnica, która nareszcie rozwiała nudę, jaka od lat ich gnębiła. Weszli więc, ciekawi dalszego biegu wydarzeń. Starali się wmówić sobie, że to wszystko jest jak nowy odcinek „Archiwum X” - teraz niepokojące, ale wkrótce się skończy i oboje będą usatysfakcjonowani widząc napisy końcowe.

- A jeśli idzie o ojca, to... No cóż. Nie będę owijał w bawełnę. Jest umierający. Nie zgodził się, żeby zabrać go do szpitala. Powiedział, że będzie na was czekać tu, na własnych śmieciach, tak jakby to jeszcze miało znaczenie. Ale bardzo chciał się z spotkać. A jego życzenia są dla mnie rozkazem.

- Zaraz, zaraz - przerwała mu Anka. - Mógłbyś już skończyć z tymi zagadkami?

Albo nam powiesz, o co w tym wszystkim chodzi i skąd tak naprawdę nas znasz, albo natychmiast stąd wychodzimy.

- Myślę, że odpowiedzi na wszystkie pytania udzieli wam mój ojciec. On jest cierpliwy, lubi najpierw słuchać, żeby potem wyjaśniać, zaskakiwać, przestraszać. On wbrew pozorom wcale nie jest zły. Choć wbrew pozorom dobry też nie jest, he, he.

- A kim jest ten twój ojciec, do cholery!?! - krzyknął Paweł, wyprowadzony już z równowagi głosem Witczaka, brzmącym, jakby tamten nie prowadził rozmowy, lecz opowiadał dowcipy w „Maratonie uśmiechu”, publikę i jej reakcje mając w głębokim poważaniu.

Gdzieś w oddali rozległy się oklaski.

- Ojciec nigdy nie używa swojego prawdziwego imienia i nazwiska. Raz wszedł w rolę i już nie odpuszcza. Musicie docenić jego konsekwencję... Prosi by nazywać go Adam

Omega.

3

- Spokojnie, chłopie, wyluzuj, to już koniec - uspokajał go Robert.

Olek, jak się okazało, nadal siedział w fotelu. Nie wychodził z pokoju. Chyba wyszedł z siebie i nawet nie wiedział, kiedy.

To mi się tylko wydawało - powtarzał w myślach, jakby to była lecząca psychiczne rany mantra. - To była tylko taka moja mała schiza. Nie pierwsza i nie ostatnia. Zły trip.

Skręt w ślepy zaułek. Nic wielkiego. Każdemu może się zdarzyć.

Cały drżał z przerażenia. Pocił się jak w gorączce. W ustach miał tak sucho, że jego język zmienił się w drewniany kołek, którym nie dało się ruszać. Musiała minąć dłuższa chwila, nim Olek był w stanie cokolwiek powiedzieć.

- Ja tam byłem... Na tym filmie, widzieliście? Ja i moja ex! Skąd my się tam wzięliśmy?! Jak to zostało nagrane? Co to w ogóle miało być?!

- O czym ty gadasz?

- Nie widzieliście?! No na tym filmie, co szedł w tym małym telewizorku! Tam przecież byłem ja. To były sceny z mojego życia, to były...

- Jezu, ale dostał haluna - stwierdził perkusista, wyciągając czteropak z lodówki.

Wszyscy w pokoju byli nadzwyczaj spokojni, jakby nie wydarzyło się nic dziwnego.

Wszyscy oprócz Olka.

Robert poklepał go po ramieniu.

- Po prostu odjechałeś, stary. Ostrzegałem cię, ten film mocno ryje psychikę.

Wkręciło cię i dostałeś korby. To się często zdarza przy filmach Omegi. One strasznie piorą po bańce. Podobno niejeden fan Adama trafił po takim seansie do czubków.

Przynajmniej takie legendy krążą po sieci. Tu trzeba mieć naprawdę silną wolę, duże poczucie rzeczywistości i dystans, żeby nie dać się wymanewrować na manowce własnej podświadomości.

- Tylko halun, tak? Nie robicie sobie teraz jaj?

- Powaga. Przecież cię ostrzegałem.

- A co wy tam widzieliście? Na tym telewizorku, na którym bohaterowie filmu puścili kasetę? Nie było tam niczego... podejrzanego?

- Widzieliśmy to, co było tam naprawdę. Czyli filmik o wcześniejszych losach głównego bohatera „Ulisy”, o jego życiu w czasach przed Apokalipsą. Historię jego i jego zmarłej na raka żony. Czyli tej kobiety, której ducha spotkał w magazynie.

- I ten bohater... To na sto procent nie byłem ja?

- Chciałbyś, stary - zaśmiał się Robert. - Każdy marzy o zagranium w filmie Omega, ale to niestety nikomu się nie udaje.

Olek otarł pot z czoła. Teraz już wiedział, jak musi czuć się jego szef, że się tak bez przerwy poci. Wieprza dręczy nieustająca gorączka, trawi samonapędzająca się maligna.

Może właśnie przez nią rzuciło mu się na słuch?

- Jak to nikomu?

- On po prostu nie angażuje aktorów.

- Nie? To w jaki sposób kręci te swoje pokręcone...

- Sami nie wiemy. Ale krążą pogłoski, że on przekazuje swoje wyobrażenia, sny i wizje bezpośrednio na taśmę. Choć to może być tylko kolejny sieciowy mit, mający go wypromować mem, puszczany w eter, żeby wytworzyć wokół niego aurę tajemniczego geniusza, którego nikt nigdy nie pojmie.

Olek w życiu nie słyszał o czymś podobnym. To brzmiało jak kompletna bzdura, jak najlepsze dokonania Monty Pythona. Kim, do diabła, był ten cały Omega? Czemu jego debiut przeorał świadomość Olka mocniej niż wywar z grzybów halucynogennych? On przecież widział wcześniej sporo pociętych rzeczy, swego czasu był wielkim fanem „Las Vegas Parano”, zapodawał to sobie nałogowo, miał DVD z kolekcjonerskiego wydania. Ale to... To było zdecydowanie ponad jego możliwości. Ponad możliwości każdego w miarę normalnego człowieka. Reżyser powinien wiedzieć, że między nim a widzem istnieje niepisana umowa, kredyt zaufania do twórcy - nie należy z tym kombinować, bo komuś stanie się krzywda.

Długo nie mógł dojść do siebie. Tylko raz spotkało go coś podobnego. Gdy po wielogodzinnym paleniu koledzy wkręcali mu swoje jazdy, mówili mu, że jest balonem, a on nagle robił się lekki i unosił pod sam sufit, a potem wyżej, wyżej, wyżej. Ale to było dawno i nie był już do takich rzeczy przyzwyczajony.

- Ale zaraz, zaraz... Jeszcze jedno... Czemu to się nazywało „Ulica uli”? - spytał po chwili. - Ten tytuł ma w ogóle jakikolwiek sens?

- Podejrzewam, że nie. Ale fajnie brzmi. Omega sam kiedyś przyznał w jakimś wywiadzie, że tytuły wymyśla na podobnej zasadzie, jak Gombrowicz przy „Ferdydurke” - tylko po to, żeby wszyscy się głowili, o co tak naprawdę chodzi.

*

Wracając samochodem do domu, Olek cały czas odnosił wrażenie, że dalej coś jest nie tak. Raz wydawało mu się, że wciąż siedzi z chłopakami w motelu i ogląda tamten

popierdolony film. Raz, że jest jeszcze na koncercie i to muzyka Statystów wprowadziła go w stan głębokiej hipnozy, a wszystko, co było potem, wcale się nie wydarzyło. Myślał też, że być może nawet jest teraz w redakcji i wpatruje się w wir na okładce płyty...

Miasto widziane przez szyby było całkowicie nierealne. Budynki przypominały gigantyczne nagrobki, skąpane w bieli. Neony sklepów błyszcząły we mgle, przechodnie robili się przejrzysti niczym swoje własne hologramy...

- To przez ten pojebany film, wszystko przez ten film - mówił sam do siebie, starając się przekonać, że to uczucie wkrótce minie, że to tylko chwilowy efekt niezdrowego pobudzenia serią niezrozumiałych scen.

Postanowił włączyć radio, żeby nie słyszeć własnych myśli, zagłuszyć lęk, który cały czas mu towarzyszył, jak wierny cień.

- Wiadomość z ostatniej chwili - zabrzmiał z głośników czyjś beznamienny głos. - Reżyser Adam Omega zmarł dziś wieczorem, o godzinie 22:23... Wiadomość z ostatniej chwili: reżyser Adam...

Olek spojrział na zegarek. Była dopiero 21:12. Ktoś tu odpierdalał kolejny kabaret. Ktoś wkręcał go w jakąś grubszą jazdę. A może po prostu zepsuł mu się zegarek? Zatrzymał samochód.

Uchylił szybę i krzyknął do przechodzącego nieopodal staruszka: - Przepraszam pana! Która godzina?!

Staruszek był zgarbiony, a jego głowa trzęsła się niczym szałwik. Gdy spojrział na Olka, ten przekonał się, że ma przed sobą głównego bohatera „Ulicy uli”. Choć przedtem ani razu nie zobaczył twarzy tamtego aktora, był pewien, że teraz widzi dokładnie tę samą osobę. Przeczuwał to, po prostu to przeczuwał. A była to pewność gorsza od najgorszego koszmaru. Pewność, że właśnie przekroczyło się granicę, która dzieli normalnych ludzi od tych, którzy srają pod siebie wystukując głową o ścianę niezbadany rytm, podsuwany im przez oślizgłe istoty z innych wymiarów. Pomyślał, że przecież wszystko mogło się inaczej potoczyć. Że mógł być dalej z Anką, trzymać się z dala od kłopotów, stać się przykładowym członkiem zdrowej części społeczeństwa, przykładowym, kurwa, mężem, przykładowym, kurwa, ojcem, przykładowym, kurwa, człowiekiem! Ale na to było za późno. O wiele za późno.

- Nasza ostatnia, synu, to już nasza ostatnia...

Olek ruszył z piskiem opon.

To nie działało się naprawdę. Ktoś tylko robił sobie z niego jaja. Wkręcał mu maksymalnie schizujący film na szpulę mózgu.

Omega nie umarł. Niemożliwe. A zresztą nawet gdyby, nie był chyba aż tak znany,

żeby o jego śmierci mówiono w radiu. Nie był aż tak znaczącą osobowością, żeby przejął się tym ktoś spoza wąskiego grona fanów. Zwykła ściema i tyle. Nic więcej, tylko czyjś idiotyczny wymysł.

Olek przekręcił gałkę odbiornika, sprawdzając inne częstotliwości. Na wszystkich podawano ten sam komunikat...

*

To kpina - myślał. - Niemożliwe, żeby zwyczajny film nagrany na zwyczajną kasetę wywoływał takie reakcje... To się w głowie nie mieści.

Przyspieszył.

Wiedział, że w ten sposób nie ucieknie przed zwidami, ale mimo to próbował.

Jechał już ponad sto na godzinę, gnał pustymi ulicami miasta na złamanie karku.

Nigdzie nie było żadnych innych samochodów. Na żadnym skrzyżowaniu nie działały światła. Rozpędzał się coraz bardziej. Mijane budynki zlewały się w jedną szarą plamę, jakby smugę betonu rozlaną na szybach.

Sto dwadzieścia na zegarze. To nie mógł być grat pożyczony z redakcji, tamten przy osiemdziesiątce dostawał kaszlu i zaczynał się telepać, jakby nadwozie zapadło na Parkinsona. Sto trzydzieści. Nieważne, że coś jest nie tak, liczyła się sama jazda, to, że jest coraz dalej i dalej od szaleństwa, które przeżarło to miasto jak najbardziej złośliwy rak...

Nagle usłyszał przerażający huk, jak gdyby w pobliżu wybuchła bomba, a może nawet milion bomb. Wozem szarpnęło kilka razy. Olek zaczął pulsacyjne hamować, ściskając mocno kierownicę, wrywającą mu się z rąk. Bał się, że wpadnie w poślizg. Że się rozbije i nie zdąży nawet nikomu powiedzieć, co tu się wydarzyło...

W końcu zatrzymał samochód. Redakcyjny czy nie, lepiej go nie rozpieprzyć. Stał na środku ulicy. Z góry zakładał, że nikt w niego nie stuknie bo tu... nikogo nie ma. Nie ma, nie było i nigdy nie będzie. Szyby miał całe pokryte szarym pyłem, niczego nie przez nie widział.

Wysiadł, wiedząc już, co za moment ujrzy. Był świadom, co się za moment stanie, zupełnie jakby to była projekcja, którą oglądał setki razy i miał oglądać dalej, wciąż od nowa, wieczne rozpoczynanie, wieczny powrót do punktu wyjścia, bez prawa do apelacji.

Stał na pustej ulicy, a wokół roztaczał się przerażający krajobraz zniszczenia: dymiące sterty gruzów, zwęglone szczątki ciał, jęki konających, kałuże krwi, odbijające stalowe, ponure jak twarz starca oblicze nieba.

Spojrzał na tabliczkę wiszącą na popękany fragment ściany, który wyrastał z

ziemi nieopodal.

Było tam napisane: „Ulica Uli 23”.

A więc wrócił.

A może to wszystko wróciło teraz do niego?

4

Adam Omega leżał w łóżku. Był tak blady, że jego poryta zmarszczkami skóra przybrała niemal zielonkawy odcień.

W pokoju panował półmrok, żaluzje były zaciągnięte. Charczący oddech brzmiał niczym zacinająca się stara płyta. Mężczyzna miał sińce pod oczami, ślinę w kącikach ust.

Odnosiło się wrażenie, że śmierć jest przerażająco blisko, dosłownie o krok.

- Witajcie - szepnął Omega. - Czekałem na was. Czekałem tyle lat.

Anka i Paweł skinęli głowami na powitanie. Czuli się co najmniej niezręcznie. Nie znali tego umierającego staruszka, nie mieli pojęcia, dlaczego Witczak w ogóle ich tu przyprowadził. To wszystko wyglądało jak wyreżyserowane przez kogoś przedstawienie.

Nie mieli ochoty dłużej w nim uczestniczyć. To było dla nich zbyt wiele, żeby ktoś w swojej pokręconej grze wykorzystywał nie tylko ich, lecz także tego konającego człowieka.

- To jakieś koszarne nieporozumienie - powiedziała Anka, zwracając się do rzekomego szefa stacji KTL. - My nie przyszliśmy tu w sprawie pańskiego ojca. Kłopotem nie jest on, tylko nadawany przez ciebie program.

- Telewizja lokalna jeszcze nie zaczęła działać. Przykro mi - odparł, naśladowując głos irytującego facecika z biura „Telenovy”. - Ruszymy pewnie w przyszłym miesiącu. Na razie robimy tylko testy.

- To może ta popieprzona audycja też była tylko jednym z waszych chorych testów, co?! - oburzył się Paweł. - Może teraz próbujecie testować wytrzymałość widzów?

Omega z uśmiechem przysłuchiwał się rozmowie.

- O co wam chodzi? - Witczak nieumiejętnie udawał zaskoczonego.

- Już ty dobrze wiesz, o co. Zrobiliście jakiś eksperyment na naszym osiedlu, nagrywaliście ludzi w ich mieszkaniach, podglądaliście, wyśmiewaliście... Puszczaliście audycje przypominające senne koszmary. Nie wiem, jak to zrobiliście, nie używając żadnych kamer, ale mam zamiar się dowiedzieć, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię.

- Widzę, że dobrze dostroiliście się do programu dwudziestego trzeciego.

Znakomicie. Wszystko tak, jak planowaliśmy. Zresztą nawet przyporządkowanie naszej stacji do dwudziestki trójki nie było przypadkowe. Mój ojciec - podobnie jak jeden z

jego mentorów, William S. Burroughs - uważa, że ta liczba może mocno oddziaływać na ludzką podświadomość. Wyciągać z niej obrazy, których ludzkie oko nigdy nie powinno oglądać.

- Nie przyszliśmy tu pieprzyć o liczbach czy podświadomości. - zdenerwowała się Anka. - Żądamy wyjaśnień. Nie wyjdziemy, dopóki nie dowiemy się, co wtedy zobaczyliśmy i dlaczego.

- Może lepiej będzie, jeśli to ja wam o wszystkim opowiem - wtrącił się Omega.

- Nie, pan nie ma nic wspólnego z niewybrednym żartem pańskiego syna. Niech on się teraz tłumaczy.

- To nie żaden dowcip, moja droga. To coś, co planowałem od lat... - rzekł Adam.

- W moim pierwszym filmie jest taka scena, w której główny bohater przemierza ogromny magazyn wypełniony po brzegi kasetami wideo i płytami DVD. Kiedyś jeden z dziennikarzy spytał mnie podczas wywiadu, co to miało oznaczać, bo on zupełnie nie zrozumiał tej metafory. Nie wiedział, że rozwijałem ją później w każdym kolejnym dziele.

Wyjaśniłem mu, że akcja „Ulicy uli” ma miejsce po zagładzie znanego nam świata. Ziemia jest zniszczona, miasta obrócone w gruzy, większość ludzi zginęła. Bohaterowie mojego pierwszego obrazu chcieli poczuć namiastkę wieczności, zaczęli więc nagrywać filmy o własnym życiu. Marzyli, że kiedyś, wiele lat po ich śmierci, ktoś je odnajdzie. Liczyli, że ten ktoś, zachęcony tym, co zobaczył podczas projekcji, zacznie ich wspominać, uświadomi sobie, że tamci żyli pełną piersią, brali ze świata garściami, i dlatego został po nich tak wyraźny ślad. Wierzyli, że odbiorca poniekąd ich w ten sposób wskrzesi. Magazyn w „Ulicy” wypełniony był takimi właśnie nagraniami, zawierał wspomnienia całego wymarłego miasta, które jednak roilo się jeszcze gdzieś w niedostępnej przestrzeni, bo przecież czasem sny i marzenia potrafią przeżyć tych, którzy śnią i marzą...

- To nie ma żadnego związku z naszym problemem. My chcemy tylko wiedzieć, kto postanowił z naszego życia zrobić jakieś wariackie reality show, nie płacąc honorariów, nie prosząc o zgodę... Traktując nas jak bydło, z którym można zrobić, cokolwiek się chce.

Żądamy wyjaśnień.

- Ale ja właśnie zmierzam do wyjaśnienia. Nie musicie się niecierpliwić, moja... spowiedź... zajmie tylko krótką chwilę... To jest taki sąd ostateczny, jaki zawsze sobie wyobrażałem. A wieczność czeka za progiem... To nie ja oceniam was, tylko wy mnie.

Jestem byt słaby, by choćby siebie rozgrzeszyć. To wy macie wybaczyć mnie, że nie byłem w stanie nikogo zbawić, chociaż tyle razy próbowałem, tyle razy... Widzicie, ja też chciałem zostawić po sobie jakąś pamiątkę, stworzyć jakiś zapis mojego życia... tyle że

wewnętrznego, bo na zewnątrz nigdy nic się nie działo... Zawsze denerwowało mnie, że sztuka nie może być bezpośrednim wyrazem myśli artysty. Pisarz musi przelewać swoje wyobrażenia na papier, nieuchronnie je zubożając, bo słowa zawsze odstają od znaczeń, zostawiają tyle rzeczy bez nazwy. Malarz nigdy nie odda piękna swych duchowych krajobrazów w ograniczonej palecie barw. No a reżyser... Z nim najgorzej. Sukces każdego z jego dzieł zależy od tak wielu czynników, jest efektem pracy tak wielu ludzi. Nawet jeśli za kamerą stanie wyjątkowo zdolny twórca, zawieść mogą inne rzeczy. Aktorzy źle zagrają, scenografia nie będzie taka, jaka miała być, montaż zostanie zrobiony po partacku... Zawsze marzyłem o filmie, nad którym będę miał pełną kontrolę. O eksperymencie, w którym nie zagra ani jeden prawdziwy aktor, którego nie zarejestruje żadna kamera, żadne nieobiektywne oko. O czymś ze sfery świadomości i podświadomości, snu i jawy, życia i śmierci, bo to jest nierozzerwalne. Ten mój projekt zatytułowałem... „prawy, lewy, złamany”.

- Ale co to wszystko ma wspólnego z nielegalnym filmowaniem naszego osiedla, bo nie bardzo rozumiem? - spytała Anka. Była już zmęczona pokrętnymi wyjaśnieniami staruszka. Żałowała, że nie została w domu. Przed telewizorem czułaby się znacznie bezpieczniej. Za szkłem wszystko jest oswojone, spokojne i piękne, jak wystawa, gdzie każdy produkt wydaje się na wyciągnięcie ręki.

- To, co mogliście oglądać na programie dwudziestym trzecim, to były właśnie fragmenty mojego najnowszego, trwającego wiele godzin filmu. Dzieła, które miało być ukoronowaniem mojego życia, życia twórcy odchodzącego już z tego świata, zegnającego się ze wszystkim, ale głównie z sobą samym, gorączkowo i nieustannie. Jako pierwsi obejrzelście ten materiał. Można powiedzieć, że przygotowałem dla was pokaz premierowy.

- Ale przecież na tamtym programie pokazywano właśnie nas. Nie jesteśmy pańskimi aktorami, z kimś nas pan myli. My jesteśmy zwykłymi ludźmi, którzy nigdy w niczym nie występowali i nie mają takiego zamiaru. Pańskie tłumaczenia nie mają żadnego sensu, brzmią jak majaki - powiedział Paweł.

- Przesną tak brzmieć, gdy wyjaśnię jeszcze jedną, kluczową kwestię... A chodzi w niej o to, że pierwszymi widzami mojego nowego filmu zostali jego bohaterowie. Na tym postanowiłem zbudować - szczątkową bądź co bądź - fabułę tego dzieła. Chciałem dać wymyślonym przeze mnie postaciom świadomość, czym tak naprawdę jest ich życie i na jakich zasadach się opiera. Chciałem otworzyć im oczy na prawdę, jakkolwiek okrutna by nie była. Robię to niejako po to, żeby spłacić dług wdzięczności dla kogoś, kto kiedyś oświecił mnie i pozwolił mi narodzić się na nowo. Dla młodego twórcy, który stał się dla mnie prawdziwym zbawcą, o ile sztuka może nieść komukolwiek choć namiastkę zbawienia.

- Zbawienie, oświecenie... Pierdolenie o Szopenie... Nie słuchaj go, Anka.

Spadajmy stąd lepiej, bo ta bibka nie jest już ani śmieszna, ani żadna. Tu się jak widać niczego nie dowiemy i niech tak zostanie - powiedział Paweł, nie kryjąc irytacji. - To tylko jakieś jego przedśmiertne urojenia, naprawdę nie powinniśmy dłużej...

Anka milczała. Niczym zahipnotyzowana wpatrywała się w pewien punkt pograżonego w półmroku pokoju, dosłownie nie mogąc oderwać od niego wzroku... Paweł również spojrzął w tamtym kierunku.

Od dziecka uwielbiał oglądać pokazy magiczne, sam nawet starał się naśladować niektóre sztuczki z kartami, znikającymi przedmiotami, bądź kwiatami wyjmowanymi z kapelusza. To było łatwe, wystarczyło mieć sprawne dłonie i umieć odwracać uwagę.

Jednak to, co ujrzał teraz, mimo że było jak najbardziej magiczne, w żadnym przypadku nie było tylko zwykłą sztuczką, prestidigitatorstwem za pięć groszy.

Z podłogi pokoju wypływały białe litery, widmowe niczym dym, rozedrgane.

Ulatywały w kierunku sufitu, który wchłaniał je w siebie nie pozostawiając po nich żadnego śladu, głodny słów, głodny zdań. Kolejne wersy unosiły się w powietrze z cichym sykiem.

Paweł zaczął czytać:

„W obrazie tym zastosowano najnowszą technikę artystyczną polegającą na bezpośrednim nagraniu wyobrażeń twórcy na taśmę filmową. Autor dziękuje Laboratorium im. Carpentera za udostępnienie sprzętu, który był niezbędny do urzeczywistnienia tego eksperymentu.

„Prawy, lewy, złamany” jest dziełem tylko i wyłącznie Adama Omegi, który na bieżąco tworzył scenariusz, reżyserował poszczególne sceny, jak również wcielał się we wszystkie postaci...”

Paweł czuł, że wobec takiego natłoku absurdów powinien coś powiedzieć. Nie wiedział, co, nie ćwiczył wcześniej takich kwestii, takich okoliczności nie próbował sobie nawet wyobrażać. Chciał rozgonić rękami dryfujące przed nim słowa, jak roje natrętnych owadów, ale to nie działało, nic nie dało się zrobić, wszystko już dawno wymknęło się spod kontroli...

Patrzył na Ankę przerażonymi oczyma dziecka, które właśnie się dowiedziało, że koleżanki i koledzy nie chcą się z nim bawić, bo narodziło się po urojonej ciąży i tak naprawdę wcale go nie ma. Czuł, jakby ktoś go chwycił za gardło i dusił, dusił, dusił. To nie była fajna zabawa. To nie była żadna rozrywka. Z takiej karuzeli on chciał wysiąść i nigdy na nią nie wracać. Zanim jednak dał wyraz swojemu oburzeniu, zauważył, że w pokoju z

sekundy na sekundę robi się coraz ciemniej, mimo że nikt przecież nie gasił światła, mimo że żarówka nad ich głowami wciąż jarzyła się mocno. Mrok jednak gęstniał z każdą chwilą, a oddech starego reżysera robił się coraz płytszy...

Gdy przestali słyszeć słaby, charczący dźwięk jego oddechu, w nagłym błysku empatii pojęli, że dzieło Adama Omegi jest już definitywnie skończone i teraz nawet najjaśniejsze słońce nie zdołałoby rozproszyć ciemności, które wypełniły jego przemęczony umysł.

VI. Epilog

Gdy w sali kinowej zapaliły się światła, publiczność nagrodziła film owacją na stojąco. Omega, obecny na premierze mimo bardzo złego stanu zdrowia, był wzruszony i nieco zawstydzony. Wiedział, że „prawy, lewy, złamany” jest jego ostatnim dziełem.

Zdawał sobie sprawę, że zanim zdąży zabrać się za kolejny projekt, śmierć powie mu: „stop, już wystarczy”. Cieszył się więc, że w taki a nie inny sposób zakończył karierę, że widzowie po raz kolejny się na nim nie zawiedli.

- Cóż mogę powiedzieć, Adamie - zagadnął go już na ulicy jeden z krytyków, Krzysztof Bala, przyjaciel jeszcze z dawnych lat. - To było takie... takie twoje. Rozbroiły mnie te wszystkie smaczki. Aż zachichotałem, gdy usłyszałem swoje nazwisko padające z ust lidera wymyślonego przez ciebie zespołu.. Ale powiedz mi jeszcze tylko jedno, bo tego chyba nie zrozumiałem, a chciałbym. O co chodziło w końcówce? Mam na myśli wzmiankę, że ten film to splata długu, że robisz go dla kogoś, kto cię oświecił. O kim mowa? Czyżby jakiś twój nowy mistrz? Znam tego pana? Klasyk, czy raczej niedoceniany przedstawiciel kina niezależnego?

Adam uśmiechnął się, ale w jego oczach nie było nawet cienia wesołości. Na poranej zmarszczkami twarzy starca każdy stan jego duszy wyświetlał się tak wyraźnie jak film na ekranie.

- Nawet ja nie znam jego imienia. Kilka miesięcy temu otrzymałem od niego przesyłkę. W kopercie był list i płyta z kilkuminutowym fragmentem filmu. Z listu wynikało, że autor jest młodym reżyserem, który dopiero uczy się profesji i jeszcze wiele rzeczy nie wychodzi mu tak, jak by chciał. Twierdził jednak, że bardzo się stara, szlifując talent podczas kręcenia pewnego wielogodzinnego eksperymentu. Napisał, że kilka urywków tego dzieła przysłała mi jako upominek. Z jakiegoś powodu uważał, że jest mi to winien.

- I za to jesteś mu aż taki wdzięczny? Przecież wielu młodych wysyła ci swoje próbki i wprawki. Jedne są lepsze, drugie gorsze, ale żeby od razu...

- Ta jego niepozorna wprawka uświadomiła mi wiele rzeczy, Krzysiu, naprawdę.

Ona... otworzyła mi oczy.

- A mogę wiedzieć, o czym był tamten film?

Adam sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej zmiętą kopertę.

- Ostatnio cały czas nosiłem to przy sobie. Jak amulet. - Zaśmiał się. - Teraz już nie jest mi potrzebny, więc chyba mogę ci go dać. Obejrzyj koniecznie. Najlepiej jeszcze dziś.

O potem żyj z dnia na dzień, bo nic więcej ci nie zostanie.

*

Krzysztof Bala nie spodziewał się wiele po filmie, który dał mu Omega. Mimo iż szanował swego przyjaciela i cenił jego gust, nie mógł uwierzyć, by kilkuminutowe dziełko mogło odmienić czyjekolwiek życie, a już w szczególności życie starego reżysera, który niejednego przecież doświadczył. Adam musiał przesadzać. Popłynął na fali własnego zachwyty, jak już nieraz w przeszłości.

Czas na puszczenie płyty Bala znalazł dopiero w okolicach północy, wcześniej pisał na gorąco recenzję nowego dzieła Omegi. Bardzo je chwalił, ale zauważył też, że reżyser nie mówi tym filmem niczego nowego, tylko po raz kolejny rozstrzyga kwestie, które nurtowały go już od czasów debiutu. Przesyłając tekst do redakcji, Krzysztof zdawał sobie sprawę, że będzie prawdopodobnie jedyną osobą narzekającą na autotematyczność Adama.

Wszyscy inni na pewno znów pochwalą go za wierność własnym przekonaniom, konsekwencję wynikającą z nieporównywalnej z niczym pasji...

Czerwone cyfry 00.00. migały na zegarze jak oczy potwora.

Godzina duchów - pomyślał Bala, uśmiechając się.

Włożył płytkę do napędu i czekał...

Przez pierwsze sekundy na ekranie monitora było widać tylko śnieg zakłóceń.

Bala ziewnął, dochodząc do wniosku, że przyjaciel po prostu sobie z niego zakpił.

Już miał wyłączyć komputer, gdy nagle wskoczył normalny obraz. Krzysztof ujrzał

Adama Omegę. Pierwsze ujęcie filmu ukazywało go leżącego w łóżku, młodszego o co najmniej kilkanaście lat. W następnej scenie był już nieco starszy, ale wciąż młodszy niż obecnie. Rozmawiał z żoną. Zaczęli się o coś kłócić. Adam wykrzyknął, że żałuje tego czasu, który z nią spędził. Kobieta rozplakała się. Rzuciła stojącą na stole wazą w wiszące na ścianie lustro, rozbijając je na setki kawałków... W rzeczywistości żona Omegi nie żyła od ponad półtora roku, zmarła na raka.

Następna scena ukazywała reżysera siedzącego w kinowej sali. Rozbrzmiewały oklaski. Była to bez wątpienia dzisiejsza premiera... premiera filmu „prawy, lewy, złamany”.

Potem Krzysztof Bala ujrzał na ekranie samego siebie. Tu i teraz. Z narastającym przerażeniem przyglądał się, jak jego filmowe odbicie ogląda tę samą etiudę, co on. Był to nawet ten sam moment podarowanego mu przez Adama dzieła. Bala poczuł się



przyłoczony tym, co widzi, tym, co nagle zdołał sobie uświadomić. Był sparaliżowany widokiem nieskończonej ilości monitorów - tym bardziej że wszystkie one wyświetlały identyczny w każdym szczególe obraz: jego samego wpatrującego się w ekran, jego samego wpatrującego się w ekran, jego samego wpatrującego się w ekran...